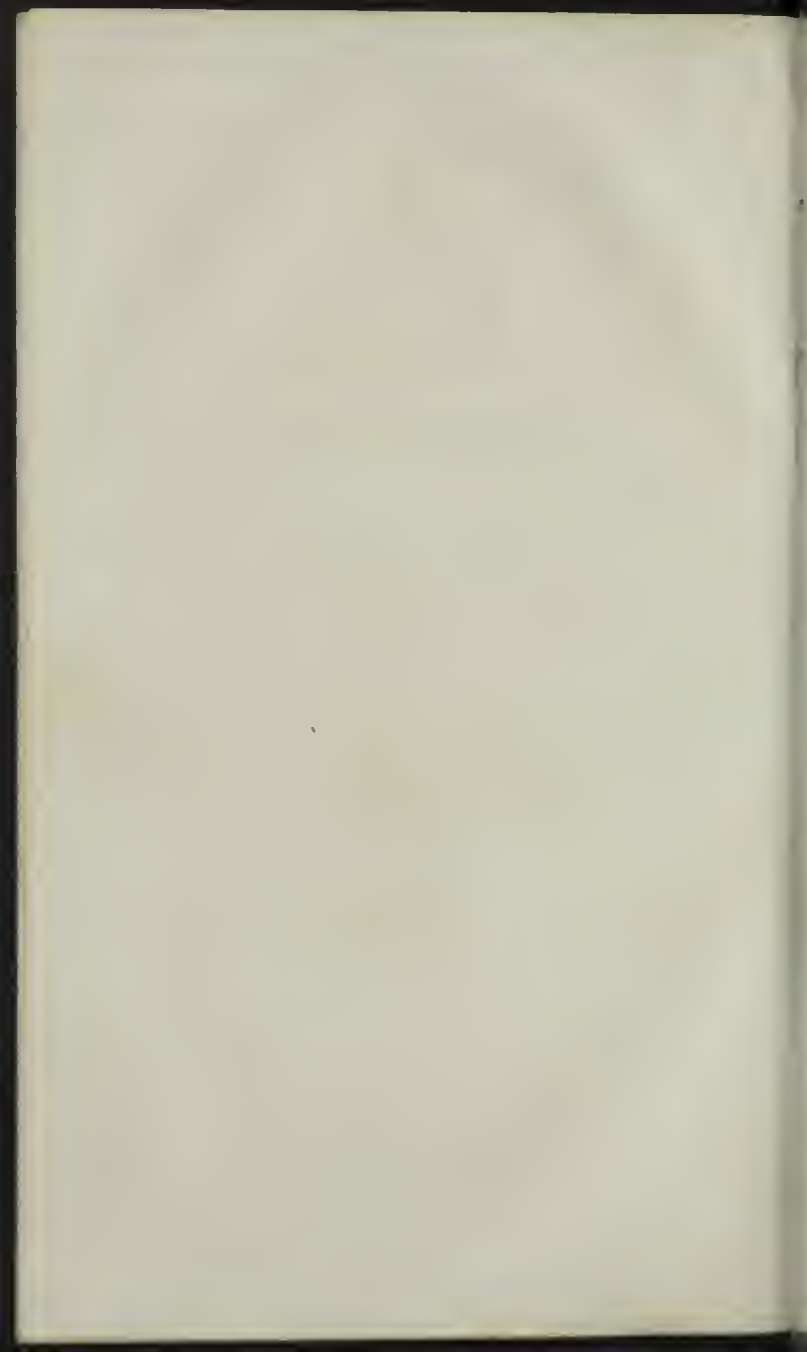


S Z K I C E

OBYCZAJOWE I HISTORYCZNE.

(Każda powieść tego zbioru sprzedaje się osobno.)



**SZKICE
OBYCZAJOWE
I HISTORYCZNE**

J. I. KRASZEWSKIEGO.



Powieść Druga.



Wydanie Adama Zawadzkiego.

W I L N O.

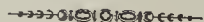
NAKŁADEM I DUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

1 8 4 0.

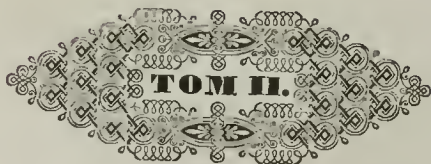
Pozwolono drukować pod warunkiem złożenia po wydrukowaniu exemplarzy prawem przepisanych w Komitecie Cenzury. Wilno 1840 roku 5 Sierpnia.

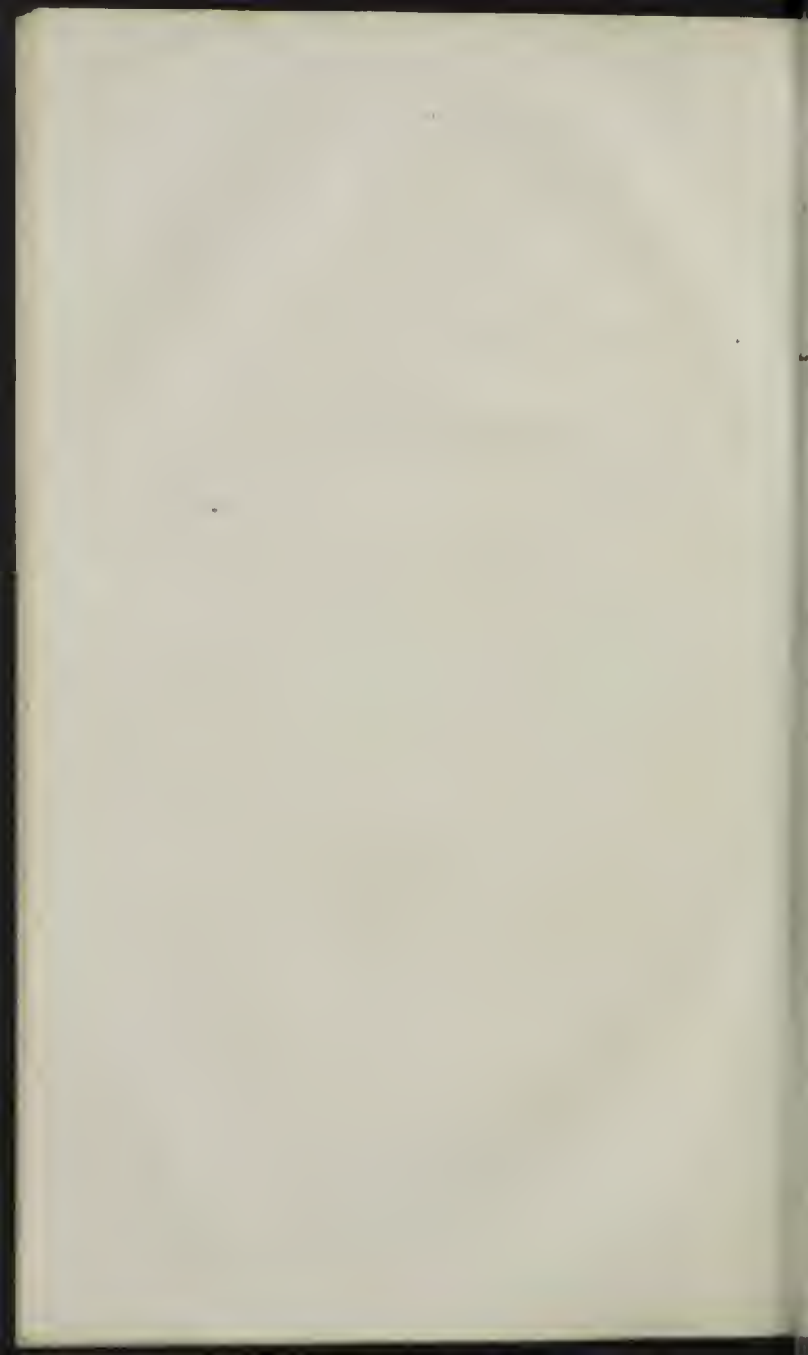
*Cenzor, Professor b. Uniwersytetu Wileńskiego, Radca
Kollegialny i Kawaler JAN WASZKIEWICZ.*

M I S T R Z
T W A R D O W S K I .



P O W I E Ś Ć
Z P O D A Ń G M I N N Y C H .





ROZDZIAŁ I.

Jako Twardowski chciał użyć świata.



Znowu nasz Mistrz siedział w swojej izbie w Krakowie, i znowu jak niegdyś na Krzemionkach, dręczyły go dziwne myśli i żądze. Czuł znowu że mu wiele brakło do szczęścia.

—Wszakże, mówił do siebie, mam naukę, której tak gorąco pragnąłem i władzę w ręku wielką—czegoż brak mi jeszcze?

I ze śmiałością mędrca, który się nie lęka zbadać głębi swojej duszy, Twardowski patrzył w nią, jak lekarz, który patrzy na chorego jęczącego od bólów, na pozór widocznój nie mających przyczyny, a pragnie dójść siedliska choroby.

— Coż mi jest? myślał: Nie mam że władzy i nauki? Jest że jakie szczęście na świecie, któreby przechodziło szczęście pochodzące z uczucia nieźmiernej władzy i pojęcia otaczającego świata?

A szatan niewidzialny szeptał mu w ucho.

— Jest jeszcze inne szczęście, którego ty nie doznałeś. Znasz świat i możesz wiele, ale nie *użyłeś* niczego.

Na tę myśl, która jak błyskawica przesunęła się po jego głowie, wstrząsł się Mistrz, bo to była *myśl-matka*, z której całe pasmo nowych dla niego wyobrażeń o życiu wysnuć się miało.

— Potrzebaż, mówił do siebie — potrzebaż koniecznie użyć, żeby być szczęśliwym, jak bestja, jak zwierze, jak ten tłum, co nie pojmując świata, używa go jednak i — stęka. Nie lepićj że *pojąć* wszystko, a niczego nie tknąć, nie wmięszać się w tłum, nie skałać się i stać wyżej wszystkich roskoszy, które człowieka niewolnikiem ziemi i ciała i świata czynią? Potrzebaż koniecznie, abym ja, wyższy od ludzi nauką i władzą, zrównał się z nimi *użyciem* świata, zniżył się jak oni, do napicia z brudnej kałuży?

— Któż mię zapewni, że potém będzie mi dosyć? Któż mię zapewni, że raz puściwszy cugle, wstrzymam się i nie zapragnę wypić téj czary, aż do mętów i goryczy, leżących na dnie?

— Warte li te rokosze, abym się zniżał do nich? Toć to jest, albo nie, co w istocie dręczy mnie i niespokoi?

Imyślał, i patrzył, i przekonywał się mimowoli, że próbując szczęścia ziemskiego, zostawało mu jeszcze spróbować użycia świata.

— Ha, rzekł do siebie, nie trudno mi będzie użyć świata! — I śmiech szyderski rozległ się w téj chwili tuż obok. Był to głos szatana.

— Ty tu znowu, szatanie?

— Zawsze, Mistrzu! Słucham ciekawej rozmowy twojej duszy z ciałem i śmieję się słysząc to dumne: nie trudno mi będzie użyć świata.

— Jest li to śmieszne? z czegoż się śmiałeś tak głośno?

— Bo ci ta myśl przyszła właśnie w porę, jaką przepowiedziałem. Spójrz na siebie. Jesteś złamany nauką i pracą, myślami, niepokojem; duszą, która się w tobie jak lew w klatce uwięziony bije i tłucze. Twoje włosy, nie z wieku lecz z pracy opadają z głowy jak dojrzały

owoc, wiedną, schną i siwieją, twoje oczy opasały się czerwonym obręczem, tém piętnem mola lub rozpusty; twarz ci zapadła i zmarszczyła się jak pergamin stary, ciało nabrało zgięcia jak łuk, który, choć mu stronę odpuszczają, chyli się z nałogu. Przywykłeś i przyrosłeś do twój ciszy naukowej, znasz xiegi, ale znasz że ludzi, znasz że ty kobiety, bez których użyć świata nie potrafisz? Czy potrafisz dać sobie radę ze światem, mędrze, coś go tak głęboko zbadał? Ja jestem pewny, że pierwsze dziewczę wiejskie, w pole by cię, w praktyczném życiu, wywiodło. —

Z kolei Twardowski, pewien siebie, zaczął się śmiać głośno.

— Najlepszy śmiech ostatni, rzekł diabeł podtuliwszy ogona, zobaczym kto się w końcu rozśmiejce, zobaczym! Ale Mistrzu, przestrzegam cię, że znać świat jak mędrzec, i znać go jak ten co go używa, weale to co innego. Weź kwiat; powiesz mi mądrze wszystkiemi języki świata jego nazwiska i własności lekarskie, ukryte w nim siły; ale czy spleciesz go w kształtny wieniec jak prosta dziewczyna, czy potrafisz go przyprawić jak kuchmistrz, lub prosta kucharka?

— Jak z tym kwiatem, tak ze światem, mój Mistrzu; inaczej patrzy mędrzec który bada, inaczej człowiek który używa.—

— Alboż sztuką użycie, kiedy tylu głupców to czyni nie zastanawiając się nawet.

— Głupców! zapewne — rzekł szatan, ale ci głupcy są *w tém* mądrzy; całe życie świecąc ciału i użyciu świata jak zwierzęta, już dobrze wiedzą co czynią. Zobaczysz Mistrzu, że ci za późno przyszła ta myśl, którą ci dawniej podawałem. Bo żyć na świecie a nie użyć go, choćby jak głupcy i zwierzęta, jest to jeszcze nie znać i świata i siebie, z jednej strony.

— Alboż to tych tajemnic, rzekł Mistrz, siłą rozumu domysłuć się, przeczuć ich, i instynktowo w nie się wcielić nie można?

— Wszystko to dobre w książce — Teorje — a od teorij do praktyki tak daleko, że chyba nieroztropny człowiek mógł wymyślić poczynanie życia i nauki od teorij. Jest to naumyślne psucie i zwiechnienie siebie, gdy kto rozumuje nad działaniem, nad życiem, wprzód niż działa i żyje. Za teorją służy człowiekowi instykt przyrodzony, wszelka inna śmieszna i mienięteczna, może szkodliwa.

— Paradoxa! odpowiedział Twardowski; z resztą, zobaczymy!

Szatan uśmiechnął się i zniknął, a Twardowski znowu padł w swoich myśli objęcie. Gniéwało go nie pomalu to ciągle szpiegowstwo szatana, i ciszej jeszcze, ostróźniej, snuł myśli swoje w głębi duszy, nie otwierając ust nawet.

W skutek tych rozmyślań i rozumowań, wypadło, że Mistrz żałować potroszę zaczął lat swoich młodocianych straconych na nance. Diabeł dawno wiedział że tak być w końcu musi.

— Co na tém zyskałem? myślał — Trochę sławy. Któż nie wie co to sława? Jest to zapach, który dziś rozechodzi się w powietrzu, a jutro ginie pomiészany ze smrodnym jakim wyziewem. Co mi z téj sławy kiedy i ona nie zaspokaja duszy, kiedy i téj mało mi jeszcze. Najgłupszy z ludzi szczęśliwszy jest w objęciach kobiety, niż ja w moim wieńcu. Szkoda tamtych chwil, szkoda, bo całe mojego życia siły, najjaśniejsze dni, przeznaczone do użycia świata, zeszyły na ciężkim znoju, a w zapłacie zostawiły mi stérane zdrowie, wspomnienie płowe i blade, i sławę, śmieszne słowo, wynalzione dla oma-

mienia ludzi, na ich ogłupienie. Rodzaj fałszywej monety, za którą niby wszystko mieć można, a której nikt nie przyjmuje. Religja sławy jest najdziwniejszą z przyjętych przez ludzi wiar; każda religja płaci czémś za wiarę, obietnicą nagrody — sława nieczém, gorzej niż nieczém, bo odurzeniem. Cóż to sława? Że mnie pokazują palcami, że o mnie szepezą głupcy? że się na mnie patrzą gdy idę? A jednak iluż to jest takich, którzy mnie i imienia mego nie znają, iluż tu jeszcze nie myśli i nie mówi o mnie? — Na jedno wspomnienie ludzi, ileż to zapomnienia? Dla tak uędzněj zapłaty, wartoż ofiar tyle?

I Twardowski tak myśląc a narzekając, wzdychał nad straconém życiem, nową sobie wcale przyszłość rysując. — Postanowił iść inną drogą i spróbować użyć wszystkiego. Nie wątpił on, że wszystko ku niemu się uagnie, że go świat w miłośne chwyci objęcie i różane wyściele mu łoże. Ale się omylił mocno, sądząc że można zacząć używać świata, gdy się użyło i *zużyło* na nauce i praey lata młode.

Rzucił więc zięgi w ką i wyszedł w ten świat, aby go obejrzyć okiem żądzy, jak go wprzód oglądał okiem mądrości i wiedzy. Całkiem to

inne było spójrzenie, które mu nieznany jeszcze, nieprzeczuły nawet, nowy świat odkryło. Oko mędrca, skielet tylko świata, oko kochanka życie, ruch i duszę widzi. Każdy przedmiot inaczej mu się teraz wydawał, we wszystkiém szukał on użytku i rokoszy, pokazała mu się więc strona świata rokoszna i piękna, ale z nią razem przyszło uczucie wewnętrzne, mówiące mu, że nie miał organów na użycie świata. Wszystkie pięć zmysłów jego niewprawnych, niewyuczonych, stępiących maceracją, wyrwały się bezsilnie, podrażnione, jak paralityk do skoków. Smutny to był stan i smutne myśli i zale przeszłości.

Widział kobiety-anioly, do których się nigdy nie zbliżył; a czuł on że one nie mogły go kochać. Bo miłość nie jest nigdy tak bezinteresowną na świecie naszym, aby dając wszystko nie nie brała. On zaś cóż jej mógł dać? Ciało bez wdzięku — serce bez siły i ognia — zagasłe oczy, żądze wielkie, ale nieusprawiedliwione młodością i bez tłumaczy. Widział nie raz kobietę-aniolę, na którą patrząc duma się o niebie, a czuł że nie mógł ulecieć z nią do nieba, które mu przypominała, jedną nogą do piekieł już bę-

dąc przykuty. Widział kobietę-rokosz, z usły stworzonemi do pocałunku, z lubieżną piersią, z pałającym wzrokiem. Lecz i ta mogłaż być dla niego? Cóż dla niej mógł znaczyć chudy, bezsilny, zużyty nad wiegami mędrzec? — chyba gorzką na poranek zgryzotę. Zgryzoty i miłość gdy się raz spotkają, miłość musi uciekać prędko.

Widział młodziuchne dziewczęta, których wejrzenie wzbudza myśli o raju niewinności i miłości piérwszój. Lecz gdzież był węzeł współżucia między nim a niemi? Widział dójrzałe dziewice, co śmiało w świat patrzą, bo czują że mu są potrzebne, konieczne jak chléb, lecz ich nadzieje z jego zimną mądrością nie umiały się pogodzić.

Widział jeszcze te dziwne zjawiska kobiety, wpółluwiedle, już na łodydze, w tym wieku, który młodość zamyka, a jeszcze niezaczyna starości; widział je okiem żądzy, bo ma swój powab także tych lat kobiéta; ale kobiéta taka nie wybierze wywiedłego nad wiegami, łysego i uczonego do pary; jéj potrzeba jak Dawidowi odświeżyć się, odżywić, tchnieniem młodém, przypominającém

jęj lata, o których z rozpacz y myśleć nie śmie i nie może.

Widział Twardowski szczęście bogaczy, ów przepych, wytwory, owo życie sybarytów i neronowskiego Rzymu, życie w miękości, w roszoszy, w poszukiwaniu przyjemnostek i wszelkiego rodzaju wygód, widział te pieszczoty ciała, chciał był użyć ich; lecz zmysły jego nie były przygotowane do takiego szczęścia, do którego z kolebki losy kołyszą człowieka, lub umyślnie na to go stwarzają.

Widział zastawne wytwornemi jadły i napojami stoły, lecz chociaż czuł roszosz podniebienia, łechtane go i zaspokajane go, w myśli, choć pojmował to bardzo, on, co dotąd jadł tylko aby żyć, czuł że nie potrafi w całej rozciągłości nauczyć się użycia téj roszoszy.

Tak przechodziły mu przed oczyma wszystkie świata roszosze kolejno, a każda, mijając go, plwała mu w twarz i wołała.

— Idź stary i zużyty człowiecze, nakryj się dziurawym płaszczem dumnej twojej nauki, i żyj z mólami twoich książek; jesteś za stary.

Tak powoli przekonał się Twardowski że opuścił chwilę dogodną użycia świata, że prawda

była przy djable, a przy nim został żal tylko; przekonał się że trzeba było młodych zmysłów i serca i nieużytych w ciągłej walce sił, abysię nasycić; przekonał się że gdy połowa jedna upajała się, druga konać musiała z próżnego pragnienia. On należał do tej drugie połowy.

Smutny, ze spuszczoną głową, poglądał i myślał.

—Nie ma już nie dla mnie? nie że mi nie pozostało? Nie masz li sposobu, ratunku? Dałem duszę djabłu za szczęście, ale się onylili w wyborze szczęścia—obłąkała mnie nauka. Pozostanę tak niezaspokojony po użyciu świata ciałem, jakem pozostał używszygo i zbadawszy myślą? Wielkie pytanie! Życie byłoby tylko gorzkim żartem z nas biednych??? Pierwszy to raz Twardowski zehodził do takich myśli i czuł się upokorzony, a naówezas, jakby mimowolnie, przyszły mu do głowy chwile wiary i młodości, daleko już za nim siniejące w oddaleniu; przyszło mu na myśl życie jego niewinne, słodkie, ucznia i dziecięcia, mimowoli uczuł, że *to tylko* była chwila szczęścia, bo *to* był wiek nadziei.

—Więc *nie* tu niéma, tylko *nadzieja* wszyst-

kiego? myślał. Nadzieja, i najmądrzejszy kto robi sobie nadzieje, a niemi żyć mnie, nie tykając i nie pragnąc rzeczywistości — wreszcie, mam i ja nadzieję jeszcze, nadzieję użycia świata; będę nią żył, czekając lepszego.

ROZDZIAŁ II.

**Jako Twardowski kochał i pożądał swojej
młodości.**



JEDEN z wielce uczonych Professorów, medyków Akademij, będąc przypadkiem żonaty, miał śliczną córkę, może także przypadkiem. Imię jój była Hanna, twarz jój anielska! Wyobraźcie sobie blade oblicze, jakby anioła na obrazie, złote włosy, wejrzenie omdlałe czarnego przytém oka, wejrzenie, które każe myśleć o niebie. Na ustach dziewczyny panował figlarny uśmiech młodości, co nie zna jutra, we wszystko wierzy, w siebie, w szczęście, w ludzi, w cnotę, nie rozumie egoizmu, pojmuje poświęcenie i przeczuwa już cenę jęgo w życiu.

Taka to była Hanna, którą Twardowski wybrał za kochankę. Głupi starzec, myślał że się z nią zgodzić potrafi, że on ją, a ona jego pojmie; kiedy ich rozgradzał cały świat różnicy, całe morze rozdziału, całe wieki.

Piękna Hanna, co tak mocno czuła serce w sobie, gdy ją spotykał młodzieniec, gdy zdala spójrzał na nią rumieniąc się i mówił do niej wymownym językiem młodości — oczyma: ja cię kocham; piękna Hanna odskoczyła zdziwiona gdy się mędrzec zbliżył do niej, woniejący zbutwiałemi wiegami, prześiekły nauką, dumny sławą, zimny, mądry, suchy, błądy i pomarszczony. Myślała jednak że to był przypadek. Lecz gdy raz i drugi i trzeci zbliżył się do niej, gdy już wątpić nie mogła, lękać się zaczęła i myślała.

— Toż to mój przeznaczony?

Bo wiadome przysłowie naszego ludu — że Bóg dziewczę męza, chłopcu żonę preczuje — a obojgu śmierć — i prawda!

Niezrażał się oziębłością Hanny mędrzec, choć mu było smutno, że ta miłość, którą mógł lada gaszek obudzić, spała w sercu dziewczyny na widok jego. Naówczas dopiero postrzegł,

że mądrość jego nie była zupełna, bo ten jest tylko mądry wedle świata, kto zna świat, ciałem, nauką i sercem, użył go, pojął i uczuł. Twardowski znał świat tylko jednym zmysłem niejako.

Tym czasem szedł dalej — nie tracąc jeszcze nadziei, że się podobać potrafi. Dosiadywał uparcie przy pięknej Hannie, ale napróżno. Wielkimi oczyma patrzyła na niego, a głośną sławę jego czytając z pomarszczonego czoła, zdumiewała mu się, dziwiła, kochać jednak nie mogła. Nie śmiał także Twardowski inaczej swęj miłości, tylko zagastemi oczyma okazywać, tak czuł całą śmiészność swojego położenia. A jednak ufał w siebie. To już było proste oślepienie egoizmu. Uwodził się Mistrz, jak wszyscy zakochani uwodzą, mówiąc sobie.

—Może jutro, może kiedyś.

I odchodził bez nadziei i powracał znowu; jutro jednak spodziewane daleko było, a Hanna coraz zimniejsza i bardziój przełęczniona, bo się lękała aby ją ojciec za suchego i nudnego mędrca nie wydał, okazywać mu zaczęła wstręt, oziębłość, i wprzód poutfała jak dziecię, rozmyśliwszy się głęboko o ile mogła, usteczka różo-

we skrzywiła, czoło białe zmarszczyła, milcząc niespokojna lub na wszystko trzęsąc tylko głową.

Twardowski siedział jednakże przy niej, codzien się zbierał mówić jój o miłości, i co dzień do jutra odkładał; tak mu się to zawsze równie śmieszném, trudném, niewczesném zdawało.

Nareście, gdy rozogniony przy niej, odezwał się z jakimś strzelistém oświadczeniem, piękna Hanna rozśmiała mu się w oczy, prosiła go bardzo żeby z niej nie żartował, a potem zostawując mu pomieszanie i wstyd — uciekła. Twardowski odszedł pełen złości i gniewu, kląnąc wszystkie kobiety w powszechności i każdą z osobna, odszedł do siebie, zamknął się i dumiał, czyliby nie dać miłosnego napoju upartój niewieście, aby go gwałtem pokochała, albo nie użyć którego z tych tysiąca sposobów, które tak łatwo drugim podawał. Lecz jeszcze za mało i za chłodno kochał ją, żeby się miał rzucić do takiego sposobu; chodziło mu raczej o sprobowanie czyli mógł wzbudzić miłość, i dla tego także, niczém sobie dopomagać nie chciał, wszystko chciał bydz winien sobie. Wi-

dząc że z Hanną ciężka bardzo sprawa, porzucił ją bez żalu wielkiego, albowiem miłość jego była w głowie nie w sercu, a z głowy łatwo ją wypędzić.

Myslał potem, nadto była Hanna młodą. Szukał więc dojrzałszą niewiastę.

Łatwo ją znalazł. Była to córka Burmistrza i Rajcy krakowskiego Wejgla, mniej daleko piękna od Hanny, ale rozumniejsza od niej i dobrze od tamtej starsza, dwadzieście kilka lat bowiem przyznawano jej urzędownie, a według wszelkiego podobieństwa czułość rodzicielska choć trochę odkładać musiała, dla dziecka wygodę i własnej może; bo P. Burmistrzowa rada też była za niezwiądłą jeszcze uchodzić. Sądził Twardowski, że ta lepiej go oceni i przyjmie; omylił się grubo. Starsza była doświadczona, śmielsza, a że się kolo niej (to jest talarów ojcowskich) wiele młodzieży zwijało, odpowiedziała Mistrzowi od razu całą prawdę.

— Waszmość o tem już nie myślcie, jakby sobie serce niewiasty pozyskać, minął ten wiek. Nie umiesz waszmość szablonować z kobietą, zestarzałeś się na wiegach i myśleniu, ożeniłeś się z mądrością, nie idź że darmo do niewiast

A potem, sami powiedźcie, nie śmiesznicz by to było, żebyś waszmość kochał, i chodził za podwiką jak młokos?

Gorzka to była prawda, której Twardowski i słuchać nawet nie chciał. Uciekł więc prędko od Wejglówniej, pomyślawszy.

— Rajca bogaty, złem się udał — uboga będzie pokorniejsza, ta ma złotem swoim nabita głowę.

Ale i ubogić niechciało się także Mistrza, bo i ubodzy umięją cenić ten kwiat jedyny na pustyni życia, który się zowie miłością. Jeśli nawet która udawała miłość, w nadziei że zyska co od niego, Twardowski widział, że pod tą błyszczącą zwierzechnią sukienką, była inna podszewka.

Tak powoli próbując, tracił coraz nadzieję, i wreszcie powiedział sobie, że próżno było, gdy włos przyprusza siwizna, myśleć o gachostwie i niewiastach.

Zaczém rzekł w sobie.

— Czas pomyśleć o odmłodzeniu, abym dokonawszy je, zaczął świata używać.

Zawołał zaraz do izby Maćka, a zamknawszy ją, tak do niego mówił.

— Przysiągłeś mi, kiedym cię od pewnej śmierci wybawił, że mnie we wszystkiem słuchać będziesz, co ci rozkażę — pamiętasz li to?

— O! pamiętam i dotrzymam! rzekł Maciek składając ręce.

— Ponów mi tę przysięgę.

— Nie potrzeba ci tego Mistrzu, dość jedną; kto by jedną mógł złamać, złamałby dwie bez trudności.

— Zestarzałem się, rzekł po chwili Mistrz, czuję że czas mi nabrać nowych sił i nowego życia w odmłodzeniu. Ufam ci i powierzę tobie moje ciało. Dam ci przepisy jak sobie z niem masz postąpić! niech się to dokona w najgłębszej tajemnicy — niech nikt się nie dowie sposobu jakiego użyjem. Sposób ten jest całkiem inny od tego, którego ci pokazałem wprzód, a którego ty tak nieszczęśliwie zachciałeś sam spróbować. Słuchaj i uważaj. Na tej karcie wypisane są szczegóły.

Dasz mi naprzód napój usypiający, na samym nowiu księżyca, poczem obnuywszy ciało moje należycie, osmarujesz je maściami i ziołami, które do tego są już zdawna przygotowane, a to w takim porządku, w jakim

stoją słoiki na półce. Między każdym balsamowaniem ma upłynąć dzień, a po każdej maści obmyjesz ciało moje wodą z siedmiu krynic. Potém gdy wszystkie siedem maści wysmarujesz, obmywszy raz jeszcze ciało, włożysz je w przygotowaną cisową trumnę i pochowasz w ziemi świętój na świątarniu. Pilnuj zaś żeby grobu człowiek chciwy albo zwierz nie odkopał, bo by po mnie było i po tobie Maćku także. Licz potém dni troskliwie, a gdy ubiegną trzy lata, siedem miesięcy i dni siedem, wyjmiesz przygotowanych na to siedem świec z trupiej tłustosci i zapaliwszy je, odkopiesz ciało moje, które już będzie odmłodzone.

Skończywszy Twardowski, powtórzył to jeszcze Maćkowi raz i drugi i trzeci, kazał sobie powtórzyć kilka razy próbując czyli spa-
miętał, i spokojniejszy, jał jeszcze różne drobne przestrogi dawać, względem obejścia się z ciałem. Zostawił prócz tego opis na piśmie dokładny, lecz aby Maciek przez nieostrożność nie wydał tajemnicy komu, napisał wszystko pewnym sympatycznym atramentem, który za użyciem tylko wiadomych środków, czytać się

dawał. Obiecawszy wreszcie Maćkowi wielkie bardzo nagrody za dokładne wypełnienie przepisów, odważył się nie bez niespokojności oddać w jego ręce.

Maciek spełnił co przyrzekł najdokładniej

ROZDZIAŁ III.

Jako Twardowski odmłodził, i co potem uczynił.



AGDY spełniły się trzy lata i siedém miesięcy, przez który czas Maciek pilnie strzegł grobu Mistrza, porastającego codzień wyżej murawą i zielskiem, siódmego dnia po siódmym nowiu, zapalił siedém świeczek z tłustości trupiej i poszedł na smętarz. Rozstawiwszy światło do koła, sam kopać zaczął, a po niemalój pracy, usłyszał nareście motykę stukającą o wieko trumny. Tę gdy wyjął na ziemię i zamkniętą na klucz otworzył, z wielkiem podziwieniem swoim ujrzał Maciek, nie już odmłodzone ciało Mistrza, jak się spodziewał, lecz drobne dzieciątko, ży-

we i zdrowe. Wziął je więc na ręce poczeiwy sługa i zasypawszy dół ziemią, zaniósł do domu.

Myślał już starać się mianki temu nowemu obywatelowi świata, lecz że była noc, napoiwszy je mlekiem tylko, i utuliwszy w łóżku, sam zmęczony pracą spać się także położył.

Nowe i nie mniejsze podziwienie, gdy nazajutrz rano ujrzał że dziecię samo już wstało i chodziło, a choć jeszcze małe było jak półtoraroczne, widocznie jednak w oczach rosło. W ciągu siedmiu dni, to dziecię stało się młodzieńcem i dziwnym cudem, był to choć młody, ten sam jednak Twardowski.— Też same rysy twarzy, taż sama nauka, ten sam charakter, pamięć zupełna przeszłości, ale młode i czerstwe ciało, ale żywe namiętności i wielka żądza użycia świata.

Maciek się dziwił i milczał.

Dawni Twardowskiego znajomi poznali go, choć pod tą nową postacią i to podobno najdziwniejszém ze wszystkiego było, bo wszyscy widzieli w nim wielką zmianę, a tak oczy ich i serca otumanili, że młodszym go oczewicie postrzegając, wierzyli jednak, że był ten sam, co wprzód.

Zabierało się na całkiem nowe życie.

Twardowski najął wielką kamienicę w Ryńku Krakowskim, przyjął na jurgielt czeladź liczną, skupił bogate do domu obicia, naczynia srebrne i złote, napelnił drogiemi winami piwnice, stajnię kosztownemi końmi, sprowadził z Niemiec złocone kolasy. Zapylone wiegi w kąt poszły.

Z zimném przewidywaniem starca, a gorącą żądzą młodzieńca, sposobił się on do użycia świata, otaczając się naumyślnie wszystkiem, co przez zmysły jakąkolwiek roszkosz dać mogło. Bogatemu nie zabrakło przyjaciół. Ze stołu nie schodziły nigdy prawie pełne i kurzące się misy srebrne, roztruchany wina pełne. Gdy niestało pieniędzy, diabeł bryłani przynosił srebro z Olkusza. Już Maciek nawet biędny, patrząc na to, zazdrościć poczynął, a nowo żjawione bogactwa Mistrza, kładnąc na karb odmlodzenia, poczał myśleć, czyliby kogo tym samym sposobem nie potrafił odmlodzić, aby się z nim potem przyszłemi bogactwy podzielić.

Ale Mistrz od czasu ostatniój nieszczęsnej Maćka próby ze Starostą, miał na niego oko pilno; w chwili kiedy ta myśl już mu w głowie

zakwitać poczynala, zawolał go jednego ranka do siebie, i jedném czarnościzkiem slowem zaklął go w pajaka.

Biedny Maciek nplątał sobie zaraz siatkę w oknie i na muchy czatować zaczął.

Tymczasem Mistrz odmłodzony sposobił się jakieśmy powiedzieli do nowego życia. Dom jego już był jednym z najwytworniejszych w mieście, dwór nie tłumny, ale czeladź dobor-na, dorodna, pod jednostajną bogatą barwą. Wiele panowie zazdrościli nawet jego bachmatów i fryzów, które pod wyszywanemi dywdykami chodzily, a których Mistrz dosiadał łatwo, albo je do bogatęj kolasy zaprzęgał. Ściany jego mieszkania okrywały obrazy, bogate rzeźby z słoniowęj kości, kosztowne makaty. Stół jego był najwytworniejszy, i chyba może królewskiemu ustępował zamorskie korzenie i przyprawy wozami szły na kuchnię. Wszystko to tak mu mało kosztowało, tak łatwo przychodziło — *Chcę* mówił tylko i miał — wszystko, co mieć można za pieniądze.

Nie dziw że patrząc na te zbytki ludzie szep-tali, iż w tém była diabła sprawa. I nie mylili się, bo diabeł widząc go na dobrej drodze,

szczerze dopomagał do zbytelnego, sybaryt-
skiego, cielesnego życia.

Wśród takiego zbyteln i oddania się życiu
miękkiemu, raskoszom, zabawom, rozlagnie-
niom świata, wśród tego zapomnienia o dawnym
celu swoim, Twardowski jednak, ilekroć się
spotkał z jakim znajomym Akademikiem Kra-
kowskim, nie odbiegał dysputacji, i zawsze ró-
wny sobie, z jednaka mocą umiał w naukowych
przedmiotach rozprawiać, niepokonany w dy-
spucie, niezwyężony w argumentach.— Pięrw-
sze wyrzeczone słowo, wyciągało z jego duszy
cały szereg myśli, rozumowań, domysłów, cy-
tacji, które sypał jak z worka.

Jednakże to wszystko zostawało za nim,
tak jak przeszłość, której wprawdzie nie zapo-
mniał ze wszystkiém, ale którą już skończył, i
zamknął wrota jej za sobą. Czuć już w nim by-
ło więcej światowego niż uczonego tylko czło-
wieka. Z ludźmi próżnemi, którzy o kobiecie,
koniu i kielichu mówić tylko umięją z uczuciem
i wiadomością rzeczy zupełną, Twardowski nie
dawał nawet czuć że znał coś więcej i coś wa-
żniejszego nad to, co ich wyłącznie zajmowało.
Dziwili się poufali przyjaciele jego i współbie-

siadnicy, z téj kategorij nieuków światowych, że tak z mądrości sławiono tego, który nigdy zwyczajem niedowarzouych mędrków, nie wuosił rozmowy uczonój przy nich. On bowiem jak głupi pedant nie męszał w rozmowę lekką stołową, gęstěj czkawki uczonój, tak nudnėj dla ludzi światowych. Umiał, choćby dochodziły rozmowy uczonój granicy, nie tknąć jěj nigdy przy profanach, umiał na pozór skorupę tylko przedmiotów widzieć i umysł swój doskonale naginał do potrzeb i pojęć tych, z którymi obcował. W tém była prawdziwa jego wyższość i najpotężniejszy skutek odumłodzenia — miał bowiem teraz dwie twarze i dwie postacie. Zachował starą swoją naukę dla mędrców, a młody, młodością swoją nadany pozyskał nowy charakter światowego człowieka. Sława jego teraz stała się téż dwutwarzą jak był charakter. Jedni sławili w nim bogatego człowieka umiającego żyć dobrze, drudzy niezwyćżonego i nieporównanego mędrca. Twardowski nie porzucił nawet i nie zaaniechał praktyki doktorskiej, która do niego mnóstwo ludu ściagała i wielkie mu pieniężne przynosiła zyski.

Stał się więc u pospółstwa dziwowiskiem, o

którem najsprzeczniejsze rozsiéwano wieści, najdziwaczniejsze baję — Każdy bowiem inaczej go i po swojemu cenił i chwalił.

Spotkał się młody chłopak hulaka, zwykły gość za stołem Mistrza, z poważnym Akademikiem, zwykłym jego rozpraw uczonych słuchaczem.

— Co to za wyborny, przyjacielski człowiek, mówił młody, jaki wesoły, jak żyje wspaniale, jakie ma wino i kuchnię.

— A drugi mu przerywał, mówiąc.

— Co to za mędrzec, co za niezrównany filozof! Musieli się potem wzajemnie pytać siebie.

— O kim że to Waszmość mówicie?

— O Mistrzu Twardowskim, wielkim świetle Akademij Krakowskiej, *almae matris* która go na świat wydała.

— A ja o Twardowskim, bogatym lekarzu, który tak żyje wspaniale i zawsze ma stół otwarty. Jest li to ten sam?

— Nicchybnie ten sam; bo niéma dwóch Twardowskich na świecie.

Jego więc imie miało dwie sławy tak oddzielne, w dwóch odmiennych całkiem towarzystwa strefach, że one prawie dwie oddzielne

osoby wystawiały, a pewnie dwóm osobno byłyby dostatecznie wystarczyły.

Mimo żądz, z jaką Twardowski chciał użyć świata, jeszcze go był ledwie z jednój strony dotknął. Towarzystwo młodych ludzi, ciągłe ucztowanie, wesołe zabawy, paradowanie po mieście, nie stanowiły użycia świata zupełnego; bo któż, co nie znał miłości kobiety, a raczej kilku i więcej kobiet różnych miłości, może powiedzieć, że świata użył? W rozumieniu też Twardowskiego, najgłówniej mu nie dostawało do tego życia, miłości; nie mógł się teraz tylko na wybór i początek zdecydować. Trudny był wybór i kiedy teraz stał się młodym, kiedy za nim latały wejrzenia, wabiły słowa, nęciły uśmiechy — on był zimniejszy, chciał żeby szła, w którego objęcia miał oddać siebie, swą duszę i rozum, godzien był téj ofiary przynajmniej.

Teraz już, ani piękna Hanna, ani Wejglówna, ani żadna z dawniej znanych, które nim pogardziły, a teraz byłyby mile i chętnie przyjęły zaloty; nie zyskały ani nawet spójrzenia. Mijał je wesoło się śmiejąc, udając że nie poznaje, albo zuchwale im się przypatrując, z sztyderskiem natężeniem wzroku.

Twardowski marzył sobie na początek dziewicę czystą i niewinną jak słońce — takię u nóg chciał złożyć pierwszą swego życia miłość. Chciał znaleźć w przyszłej kochance wszystkie doskonałości, aby je swęj dumie poświęcić, chciał doskonałych wdzięków ciała, usposobień umysłu niepospolitych, nareście pewnego położenia w świecie, rodu. Ktoby się tego spodziewał! Tak jednak było! Wieśniaczka, mieszcza nie była by go zaspokoila; chciał czegoś wyższego, przeczuwając dopiero teraz, że ród i wychowanie wielce od siebie kobiety różni; że wdzięki prostęj wieśniaczki, bez tęg szaty jaką je okrywa dostatek i wykształcenie, są tylko kawałkiem pięknego mięsa.

Sznał Twardowski.

Tym czasem któż wie co się działo w nocy? Nieraz widziano koło jego kamienicy przebiegające piękną Strelimussę, sławną miłośnicę, Reginkę i wiele innych podobnych. Młodzież nieraz na wieczorne uczty do niego wiodła z sobą swoje jednodniowe kochanki. Twardowski nie opierał się temu wcale; nim miał poznać wielką miłość do której się sposobił i gotował w duchu, próbował tęg łatwęg miłości zwierzęcęg; bo i ta ma swoje ro-

skosze, gdy więcej ciało niż dusza miłości pragnie, w chwilach, gdy zwierzem bardziej, niż człowiekiem, jest człowiek.

Często sam jeden puszczał się Twardowski szukać przedmiotu swojej projektowanej wielkiej miłości, o której dziwy w przyszłości marzył. Czuł on coraz bardziej, że go jedno-godzinne miłostki nie zaspokoją, że potrzeba mu wielkiej passji, któraby po nim przeszła jak hebel po szorstkiej i najczoniej tarciey. Ale nie go tak w żadnej nie uderzało dziewicy, aby jej nad inne pożałował, ażeby czuł się dla niej gotowym do długich i wielkich ofiar, do nadzwyczajnych starań i poświęceń. Nie znalazł żadnej za którą by poszedł wiedziony na nitce, posłuszny jak dziecko — i to go martwiło razem i zastanawiało.

— Jest li co we mnie, przez co w każdej z nich postrzegam wady i plamy, a dla żadnej nie mogę czuć tej wielkiej miłości, o której marzę, na którą się zbieram, której do życia potrzebuję? Jest li to zażytek mojej nauki i oczarowujący jej skutek? Albo czyli w istocie nie jeszcze godnego siebie nie spotkałem? Może — i może? bo któż tak zna siebie, żeby za wszystko co się z nim dzieje, mógł przysiądź?

Wielki mędrzec przykrzył sobie jednakże, iż owa miłość spodziewana nie przychodziła. Ale gdzież jój w istocie szukał? po ulicach, po rynkach i po domach zepsutych ciągłym przebywaniem dworu Krakowskich mieszczan, gdzie same zalotnice zabiegały mu drogę, wdzięcząc się i uśmiechając. Twardowski nie tego potrzebował, i choć pięknej kobiety, przyjmował uśmiech *tym czasem i tym czasem*, udawał miłość, szukał jednakże, gdzieby się z niezaspokojonemi żądzami udać.

Tak to było po odmlodzeniu.

Maciek tym czasem prządl siatkę swoją w oknie i czatował na muchy, biedny sługa!



ROZDZIAŁ IV.

Jako Twardowski Pana Wojewodę wskrzesił, i kogo tam widział?



BYL to wieczor grudniowy, niecho wypogodzone, jasne, błyszczące, przymrozek białły leżał po dachach kamienic. Z kominów wywijały się prosto w niecho jak długie sznury, czarne dymy. W oknach tam i sam świeciły i migały światelka. Cicho było w ulicach Krakowa, tylko piesiacyś ludzie, wracali śpiewając z gospod i karczem i domów — Na ratuszu dzwoniono gaszenie ogniów (których jednak nikt gasić nie myślał i tylko okiennice przymykano) — Straż nočna wychodziła z Wachthauzu, a od zamku

wrzawno, pędziły kolasy i poczty panów do gospod w mieście.

Po winiarniach, karczmach i łaźniach opóźnień opilecy szumieli jeszcze, a gdzie niegdzie rzesistsze z okien bijące światła, dowodziły, że tam biesiadowano. Słudzy w przysionkach i roztwartych sieniach, leżąc na ziemi grali w kości, inni trzymali konie lózne, inni pochoduie. Tak właśnie było i przed mieszkaniem Mistrza, a w mieszkaniu także szumiała biesiada wesoła.

W wielkiej izbie trzaskający ogień płonął na ogromnym marmurem wykładanym kominie. Wzdłuż téj sali, w pośrodku stał stół dębowy, do koła jego ławy usłane kobiercami wschodniemi. Stół zasłany był spadającym do ziemi, szytym we wzory obrusem. Na nim kurzyły się misy srebrne, z potrawy korzennemi, polewkami.— Było to pierwsze dopiero danie; ledwie jeszcze poczynając, piwo roznosić i w kubki rozlewać słudzy mieli. Gospodarz siedział w końcu stoła podparty na rękę z uśmiechem gościnnym i uprzejmym, zapraszał gości swoich do jadła.

Twarze i postacie które stół otaczały, nie były z dawnych poważnych znajomości Mistrza, przeciwnie, były to tylko ożywione młodociane

fizjononje, stroje wykwintne, wasy do góry, oczy błyszczące, usta rumiane. Żwawo wiązała się i krzyżowała pomięszana ze śmicchami rozmowa, o kobietach, o koniach, o wojnie, o winie, o swawoli, Bóg wić o czém jeszcze — ani słówka o niegach. Mistrz mięszał się czasem do rozmawiających, z szyderskimi po większej części żartami, które pasibrzuchy głośnym śmiechem potakującym przyjmowali.

Gdy tak wesoło gwarzą i jedzą i piją i biesiadują, po wschodach słyhać chód prędkiego szącego się człowieka. Wszyscy umilkli.

Twardowski dosłyszawszy tego, podnosząc głowę, rzekł zeicha.

— Któż to jeszcze do nas przybywa tak późno, czy nie ten wieczny maruda P. Jacek?

Ale nie był to ów stary Jacek, który pozjadał zęby smaląc cholewki do młodych dziewcząt i zawsze się chwalić musiał przed wszystkimi niesłychanym swym szczęściem do kobiet; był to zdyszany pacholek czy dworzanin jakiegoś pana, który wpadł po chwili na salę i ogromnym a zdyszanym głosem zawołał.

— Mój pan umiera!

— Wieczne mu odpocznienie! odpowic-

działo kilku biesiadników ze śmiechem młodym i potężnym.

— Któż tam taki? spytał po cbwili zimno Twardowski — Jak śmiesz nie opowiedziawszy się przerywać biesiadę?

— Mój pan! Wojewoda! Wojewoda umiera! powtórzył sługus z rosnącą niecierpliwością, mocno przekonany, że na imię Wojewody wszyscy twarzami upadną.

— Choćby stu Wojewodów, rzekł znowu któryś biesiadnik — wieczne im odpocznienie — a ty idź sobie precz ze swoją śmiercią, którą nam do kielicha rzucasz, niezgrabny —

Wszyscy się śmieli znowu.

— Jest tu doktor Twardowski? ja po niego jestem przyslany; rzekł sługa zmięszany.

— Wiedz waść, odparł jakiś młokos, odwracając się na ławie, że Twardowski nie przerwie sobie biesiady, żeby ocalić życie takiemu wicherzycielowi jak twój Wojewoda, którego ciało i dusza razem kielicha dobrego wina nie wartę.

— Zapewne, zapewne! zawolali wszyscy, nie radzi przerywaniu biesiady, któraby obumarła bez gospodarza.

—Ale Pan Wojewoda obiecuje tysiąc florenów złotych, jeśli go Mistrz zastanie tylko pośpieszywszy przy życiu, jeśli umarłego to pięćset, jeśli go ocalić potrafi, dwa tysiące.

Na to wszyscy jakby uderzeni po głowach umilki, a Twardowski odwrócił się nieco.

—Mamże jechać moi mili goście? spytał.

Trzeba wiedzieć, że tak znaczna na owe czasy obiecana summa, wszystkich dziwiła, a Twardowskiemu chodziło bardzo o to, ażeby swojej zamożności, inne źródło, nie kieszeń diabła pokazał. Nic tak więc dla pieniędzy, jak raczj dla oka, myślał że wypadnie pojechać i spytał o to swoich gości.

Goście milczeli i spoglądali jeden na drugiego. Żal im było uczty rozerwanj; nie jeden zazdrościł Mistrzowi tak wielkiej summy, którą tak łatwo mógł nabyć; nareszcie jeden po cichu szepnął.

—Gdybym to ja był na Waszmości miejscu, pojechałbym niezawodnie.

—I ja! rzekł drugi z innj strony.

Miał ochotę odpowiedzieć im Mistrz jak Alexander Wielki, ale po chwili namysłu zawołał, podnosząc się.

— Bawcież się tu u mnie moi mili, a ja pojedę. Pan Mateusz zajmie miejsce gospodarza; otwarte piwnice — jedzenie i picie zdrowi; wychylcie tylko puchar odjezdnego i pomyślnych skutków podróży. To mówiąc podniósł kielich za zdrowie gości, oni za jego, i pożegnawszy ich odszedł. Rozkazał zaprządz parę koni do lekkiej niemieckiej kolasy, wziął z sobą czterech sług konnych w bogatej barwie, aby Wojewodzińskim zamożność swoją pokazać, kazał zapalić dwie pochodnie i śpiesznie wyjechał.

Całą noc otulony płaszczem, dumając, prowadzony przez służbę, dążył do wioski Pana Wojewody, oddalonej o kilka mil z tej drogi od Krakowa.

Kto nie wie jak się to duma, mając niebo pogodne i gwiazdy nad sobą, ten nie pojmie, co było rokosznego w tej nocnej podróży. Nad rankiem już stanęli u celu, ale zapłakana służba w braniu podwórcy znać dała, że Wojewoda już żyć przestał. — Mistrz chciał zaraz wracać, zaproszono go jednak do zamku i krewni zmarłego przyjęli uczciwie; nawet mu obiecanych pięćset florenów wyliczyli, lecz Twardowski ich nie przyjął.

Zdziwiło to krewnych, którzy po sławnym lekarzu nie spodziewali się takiej bezinteresowności. Pamiętano jeszcze sławną pamięci Łaskarisa — Balińskiego, który na ubogich i bogatych nakładał takie podatki, i tak sobie płacić kazał suto, wprzód jeszcze niżli za próg domu ruszył.

— Wojewoda umarł, rzekł Twardowski — nie tu już po mnie, raczcie ugościć sług moich i dajcie mi spocząć — to całą nagrodą będzie za odbytą podróż i przerwana biesiadę. Więcej przyjąć sumienia mi nie dozwala!

Chodziło mu o sławę! Dobrze sobie radził.

— Lecz prawda li że Wojewoda umarł? rzekł po chwili namysłu.

— Ach! aż nadto prawda, na nasze nieszczęście, odpowiedział płaczący w koście Wojewody bratanek, któremu on za życia wiele świadczył, a ucie nie zapisał.

— Gdzież ciało jego? spytał Mistrz obojętnie.

— Stoi już na katafalku! odpowiedział znowu, ocierając oczy, bratanek.

Twardowski pokiwał głową, usiadł i zamyślił się głęboko.

— Nie można by zobaczyć zmarłego? rzekł.

— Na cóż się to przyda Waszmości, odpowiedział jeszcze bratanek; cuchnie już nawet, tak go lekarstwy żydzi i baby napchali.

I płakał gorzko.

— Już go nie wskrzesisz!

— Jeśli prawdziwie umarł, odpowiedział spokojnie Twardowski.

— Ale zkądże Waszmości przychodzi ta wątpliwość, rzekł bratanek zdziwiony i poruszony. Dla czegoż Waszmość o śmierci jego wątpisz? Ja sam byłem przytomny gdy-konał.

— Każ no Waszmość wyniść siężom i ludowi z sali, niech ja ciało obejrzę, rzekł uparcie Mistrz.

— Ale na cóż się to przyda? spytał bratanek, który nie pojmował żeby być mogła jeszcze jaka nadzieja.

— Nie wiedzieć do czego — to nie podobna! — przerwał dziedziczący po Wojewodzie, a dopomógł mu spodziewający się po nim w Senacie Krzesła.

Jednakże, gdy Mistrz stał przy swoim, przez wzgląd na języki i oczy ludzi, wprowadzili choć opierając się Twardowskiego do izby obitej czarno, odkryli mu wieko trumny szkarłatnej,

stojacój na bogato wysłaném łożu śmiertelném. Mnóstwo żółtych i zielonych świec jarzących płonęło do kola. Wojewoda leżał w trumnie z wpadłemi oczyma i policzki, z siwą głową i wąsami. Usta miał otwarte i sine, skórę żółtą i pomarszczoną, kości zdawały się wyglądać z pod niej.

Twardowski wziął trupa za rękę powoli i długo pomyślawszy, cdezwał się głośno.

—Wojewoda nie umarł.

Krzykiem podziwienia rozległa się komnata, ale niektórzy oburzać, inni śmiać się zaczęli.

—Żarty z nas stroi, rzekł dziedzic, cóż to za gadanie! Myśli trupa wyjmować, nie damy—

Poskoczył bratanek, rozepchał wszystkich, zaczął gadać, przekonał tłum zdziwiony, jął się klócić, i gdy tu wrzawa, Mistrz tym czasem korzystając z chwili, wyjąć kazał ciało z trumny, przenieść je do sypialnój komnaty, puścił krew, która z podziwieniem wszystkich wytrysnęła, otarł czémś czoło i nos, podniósł powieki umarłego i w usta wlał napój czarny.

Naówczas z podziwieniem przytomnych, dały się czuć lekkie poruszenia piersi — oczy się obróciły, usta drgnęły, serce zapukało. Wszyscy

odskoczyli, a Wojewoda zakaszlnął i poruszać się zaczął po łóżku stękając.

Bratanek padł na kolana, inni pouciekali, inni krzyczeli, zgilek powstał straszny na zamku, hałas się rozlegał, rozjeżdżali się jedni, zbiegali drudzy, ci oddawali co pobrali, tamci przygotowania pogrzebowe ściągali, xięża ze spuszczoną głową odjeżdżali do pobliskich klasztorów. Wpadła wdowa do izby, weszły dzieci młodsze — Twardowski wszystkich odprawił, położył starca w ciepłym łóżku i zaczął go dopiero z choroby leczyć.

W ciągu trzech dni Wojewoda był zupełnie zdrow, a na stole w izbie Mistrza leżał trzos skórzały, mieszczący w sobie trzy tysiące florenów. Bratanek ze łzami ścisnął go i całował.

Twardowski wśród tej powszechnej radości i dzięków ponury został i smutny, a gdy siadł do kolasy swojej za którą wiedziono konie powodne, dar Wojewody i bratanka, oglądał się często jakby mimowolnie na zamek, wzdychał i brwi marszczył.

Oczywiście, coś go gryzło.

Była temu przyczyna. Drugiego dnia pobytu w Zamku, Twardowski wyszedł po bezsen-

nój nocey przejść się po ogrodzie, ogoloconym z liści i pokrytym szronem, aby się świeżem orzeźwić powietrzem. Kiedy tu zadumany przechadza się, spotkał dziewicę w ubiorze dość wytwornym, idącą z drugą podeszłego już wieku kobietą.

Spójrzal na nią — cofnął się, osłupiał, patrzył i patrzył jeszcze i patrzył i stał.

Zdało mu się że ją gdzies widział. Kiedy? gdzie? nie umiał sobie wytłumaczyć i przypomnieć. Rysy te jednak były mu znajome.

Znajome? Gdyby je znał, mógłby je zapomnieć? Nie były mu one znajome, ale wyraz twarzy tej dziewczyny, miał coś tajemniczego w sobie, coś jakby znajomego dla Mistrza, jakby długo oczekiwanego, przeczuwanego — Nie była to piękność mieszczańska, która żyć poczyną tak młodo i tak żwawo życie zjada, uie były to owe rysy piękne a jednak zepsute serce zwiastujące i czémś nieszlachetném nacechowane — owszem, twarz jej była życia dojrzałego, w samą siłę, pełna, a razem wyrazu jakiegoś wyższości i dumy. Czoło miała wyniosłe, białe i gładkie, oczy czarne, ognia pełne, usta małe, ledwie znaczne, różowe, pogardliwie nieco wzniesione.

Ton II.

Chód jój i postać godziły się z twarzą. Był to chód królowej, była to postać wielkiej pani.

Nie umiał sobie wytłumaczyć Mistrz, dla czego tyle kobiet przejrzawszy, ku żadnej nie uczuł tego, co dla tej, a żadna go jednak, tyle co ta nie przestraszyła.

Kobięta przechodząc ledwie na niego rzuciła okiem, ledwie spójrzała i to tak tylko jak patrzała na mur, na ziemię pod nogami, na drzewo. Powróciła do zamku.

Twardowski pośpieszył za nią, dowiadywać się od sług, kto ona była. Miarkując z postawy, wziął ją za córkę Wojewody, ale prędko się dowiedział że Wojewoda tak dorodnej córki w domu nie miał. To go trochę pocieszyło, bo już czuł że wielka owa spodziewana miłość przychodziła do niego.

— Któż to jest? spytał po cichu i ostróżnie sługi.

— To — sierota, szlacheckiego rodu, którą Pan Wojewoda wziął na opiekę, do domu swego. Ma ona tam krewnych jakichś w Krakowie, i wkrótce zapewne do nich powróci.

Twardowski pilnie się badał o krewnych, zapisał sobie ich nazwiska; a choć czatował i

na pannę, żeby ją drugi raz zobaczyć, nie mógł się już z nią spotkać nigdzie. Przestraszała go jej mina dumy pełna, ale zapalony wmawiał sobie,—jeśli nie przez miłość, to przez szatana, mieć ja będę! przez krew, przez śmierć, przez zbrodnią, przez truciznę, przez zdradę—ale musi być moja! Na wszystkie piekiel męczarnie, klnę się, będzie moja ta królowa!

I w takich to myślach, oglądając się na czerwone mury zamku, odjeżdżał do Krakowa.



ROZDZIAŁ V.

Krewni panny Agnieszki.



NIE w smak w Krakowie były Mistrzowi, witające go biesiady przyjacielskie i tłumne zgromadzenia — myślał tylko o pięknej swojej siórocie i cały zajęty myślą zbliżenia się, poznanie jej, wysyłał szpiegi, dowiadywał się azali nie przyjechała, chodził szukając wieści o jej krewnych, o niej samój. — Jej nie było jeszcze, lecz ukartowawszy plan swój, Twardowski miał czas poznać się z temi krewnemi, do których powrócić miała, aby potém miał wstęp do domu gotowy, jako dawniej już znajomy, i aby jego stosunki nie wydały tak oczewiście zamiarów.

Z mocném więc postanowieniem zabrania przyjaźni koniecznie, udał się tam Mistrz.

Ci krewni byli to wprawdzie mieszczenie, ale przyjęci do szlacheckiego herbu Poraj, bo się zwali Porajami. Familja ich tego czasu znacząca była w Magistracie Krakowskim, bogata, choć hogaetwo zebrała handlem, dom miała zasobny i należący do pierwszych w mieście. Szlachta chociaż trochę Porajów z wysoka traktowała, gdyż dziad łokciem mierzył, czego dowodem żywym, był jeszcze sklep w ich kamienicy na dole, w którym prawda nie handlując, tylko go już najmowali; — szlachta mając wzgląd na to że przestali się zajmować handlem zupełnie, a mieli jedną i drugą wioskę w pobliżu Krakowa, z której służbę sprawowali, poczynala się codziennie chętniej bratać z niemi. Głową domu był Stanisław, stary jak to zowią wyga, świadom dobrze wszystkiego w powszechności, co za jego czasów zaszło, gawęda nienasycony, nieprzewyciężony, niepokonany, uniejący na pamięć wszystkie wesołe bajeczki i wierszyki latające po świecie, rozprawujący zawsze głośno, lubiący wesołość, śmiechy i towarzystwo podobnych sobie. Pan Stanisław w chwilach wolnych od ga-

wędy, nie znosząc próżnowania, pisał kronikę anegdotyczną swojego czasu, duiami prawie (niestety! zaginęła!) lubił odczytywać z niej przy zdarzonej okoliczności kawalki, a mianowicie te w których moralne rozumowania, poparte były i przyprawne jakby zamorskiemi korzeniami, cytacjami Seneki, Titusa-Liwiusza, Tacyty, Owidjusa i Wirgiliusa, których pism ledwie że na pamięć Pan Stanisław nie umiał.

Biorąc ściśle, był to człek powierzchowny tylko, deklamator więcej niż filozof, wesóły gadała bardziej niż zastanawiający się nad rzeczami, historyk (a szło mu bardzo o tytuł historyka); próżny przytém był, bo lada pochlebey wierzył, lada panegiryk go do szpiku kości poruszał. Tak zaś łatwo wierzył w zasługi dragich jak w swoje; lada samochwał, który się przed nim pod niebiosą wynosił, u niego łatwe zyskiwał współczucie; potém zaś już, gdy o kim się uprzedził, trwał w swoim zapamiętale i bronił gorąco swoich ulubieńców.

Pani Barbara, zacna jego małżonka szlacheckiego lecz ubogiego domu, wysoko bardzo swój niepokalany klejnot szlachecki i kolligacje ce-

niąca, zakochana w starym już mężu, jak to za dawnych czasów praktykowało się czasem, kiedy nie nowina była ujrzeć parę siwych gołębi, kochających się po młodemu, pomimo lat późnych — Pani Barbara, w skutek przejęcia się, assymilacji jakiegś i przywiązania, wierzyła także w P. Stanisława, jako w najrozumniejszego, najuczciwszego swego czasu człowieka. Zdawało jej się, że nad niego nikogo na świecie nie było, ani pod względem umysłowych zdolności, ani co się tyczy przymiotów urody nawet cielesnej; choć P. Stanisław, Bóg wie jak już wyglądał. Wielka gospodyni, z pękiem kluczy w pasa spędziła cały swój żywot, i położywszy się nawet w spokojnem małżeńskim łóżu, śniła jeszcze o maldrzykach, antypastach, o apteczce, przez sen klóciła się ze sługami, wykrzykując tylko niekiedy do męża: mój kotku! P. Stanisław poważną staropolską miłością na affekt Jęjmości odpowiadał, szacował wysoce jej przymioty gospodyni i żony, czasem skłaniał się nawet w dowód uczucia pocałować ją w czoło; lecz w wielkie tylko święta!! Nad tem zaś najgorliwiej pracował i mózg suszył, aby swojej współtowarzyszce nabić głowę wielkim rozu-

mem i ważnością swoją, aby jęj wpoić pewien rodzaj adoracji dla siebie.

I nie była to zła zasada, na której oparł teorię małżeńskiego pożycia.

Pan Stanisław z Panią Barbarą byli bezdzietni; uboga sierota którą Twardowski ujrzał w zamku Wojewody, była krewną pani Barbary. Opiekował się nią Wojewoda, dopóki żyła jego córka, której współtowarzyszką i przyjaciółką była Panna Agnieszka; po śmierci jęj, czasem jeszcze przybywała do zamku Wojewody, swego dobroczyńcę zobaczyć i miejsca, w których najslodsze przeczyła młodości chwile; resztę czasu spędzała w Krakowie przy Pani Barbarze.

Lecz mówmy już o Pannie Agnieszce. Była to cudna w swoim rodzaju dziewczka. Przyrodzenie dało jęj bardzo wdzięczną postać, kibić wspinałą, oczy czarne, a nadewszystko coś tak ślachetnego i wyniosłego wyrazu w twarzy, iż każdy zdawał się mały przy niej i z bojażnią mimowolną na nią poglądał. Charakter też P. Agnieszki, odpowiadał w pełni powierchowności obietnicom. Na owych czasów kobietę, była zupełnie niepospolitým zjawiskiem. Choć sierota i uboga, cenila się niesłychanie wysoko; zdawa-

ło się jój, że przynajmniej Kasztellan jaki powinien być wejść z nią w śluby dozgonne. Lekce ważyła mieszczan, śmiała się z pięknych chłopców, których zwała *lątkami* dla dzieci, gromiła gachów, odrażając ich od siebie żarty i grochowymi wieńcami.

Jednakże była uboga i sierota — ale piękna i szlachcianka.

Nad wszystko dziwiła w Pannie Agnieszce jój niepraktykowana uczoność, która zapewne także nieco dumy jój dodawała. Ceniąc wysoko sięgi i nauki, uoówczas prawie zakazany dla kobiet owoce, oddzielną jakąś wydawała się istotą, pośrednią między kobietą a mężczyzną. Prawdziwą jój rozkoszą było chwycić za słowa, prześmiewać i pylić nienuków i półmędeków. Prędko pomimo jój wdzięków uciekła od niej młodzież, pierzchucli gaszkowie do innych łatwiejszych dziewczek, i w dwudziestu pięciu latach, których doświadczyła właśnie, już ją byli wszyscy niemal opuścili.

Wymawiał jój to surowo P. Stanisław, który znowu wzorem kobiet uważał Panią Barbarę; a Pannę Agnieszkę za jakieś *moustrum* tylko.

— Za co Waszność Panna odrzuciłaś tylu

zacznych mieszczan, tylu ucieciwych kupeców. Toć to już teraz nikt się o jej rękę nie zgłosi. Twarz gładką prędko lata poorzą, troski marszczkami zasieją, łzy doły pokopią, osiadasz panną na wieki.

Ona ma odpowiadała.

— Wolę ja zostać jak jestem, niżli żyć z jakim głupcem.

— To za grubo! Głupcem? Śmiesz ich tak nazywać. Zacni to przecie ludzie o nią się starali, a niektórzy z nich i nie bez nauki.—

— Życzę im szczęścia gdzieindziej i wielbieli łatwiejszych ode mnie—odpowiadała zimno Agnieszka.

— Cóż jednak poczniesz i myślisz z sobą dalej?

— Jeśli mnie Waszmość Dobrodzieje moi, opuścicie, wejdę do klasztoru.

— Hm! hm! odpowiadał P. Stanisław, po cóż o tém opuszczeniu mówić! Nie myślimy przecie o tém, widzisz sama, a jeśli podaję ci reflexje, to nie w innej myśli, tylko aby cię nakłonić do ustalenia losu swego; bo kobieta póty nie może się zwać bezpieczną, póki losu swego nie odda w ręce mężczyzny.

Zwał ją P. Stanisław pospolicie — *lie mu-
lier*, a chociaż za rodzaj *monstrum* w porówna-
niu z P. Barbarą uważał, miał jednak jakąś dla
niej słabostkę, bo ona eierpliwie słuchała jego
kroniki i cytacji.—

Jakśmy widzieli z tego urywku rozmowy,
P. Agnieszka, ze swój piękności jeszcze nie
zwiądkłój i rozumu tak niepospolitego naówczas
w jej pldi i stanie, wysoko się niezmiernie ce-
niając, z góry bardzo na świat patrzała, mało się
wreście troszcząc o to, że jej lat przybywało,
że ją opuścili mężczyźni; pocieszając się niegga-
mi i szyderskiem przekonaniem o nizezemności
tych, którzy ją ocenić nie potrafili.— Może je-
szcze miała nadzieje — bo i najpoważniejsi i
najrozumniejsi niemi się ludzą.—

Taka to była ta piękność, którą na pićrwszy
rzut oka, pokoechał Twardowski tak gorąco, tak
gwaltownie, jak dotąd jeszcze nikogo.—

Wróciła nareście Panna Agnieszka do Kra-
kowa, a przez przekupionych weześnie sług, za-
raz się o tém dowiedział Twardowski. Te-
goż zatćm wieczora, jakby nie nie wiedział,
w licznym poeście, w bogatym stroju, nie
raz się przejrzawszy w zwierciadle, udając że

jedzie z odwiedzin na wsi, zajechał do P. Stanisława.

Zwyczajem swoim zasiedli do uczonój rozmowy, do wesołych gadek, któremi gości swoich tak obficie raczył gospodarz. Weszła i Panna Agnieszka do izby, bo tu krośna jej stały u okna, przy krośnach Pani Barbary.

Naówczas zapoznał ją gospodarz ze swoim gościem, szeroko rozwodząc się nad jej pochwałami. Panna Agnieszka przypomniła Mistrzowi, że go widziała już w zamku Wojewody. — To polectało dumę Mistrza i napęliło go otuchą. Nie postrzegł, że wspomnienie o zamku Wojewody, wywiodła Panna dla tego tylko, aby się swemi związki pochwalić.

Uradowany dobrym początkiem Mistrz przysiadł się do niej.

Inna to była weale dla niego, niż dla pospolitych gachów, niewiasta. Zdziwił się Mistrz, który już wiele o niej słyszał, i bardzo się jej lękał, znajdując ją tak wesołą, tak miłą, gdy się spodziéwał tylko dumnego szyderstwa. Lecz mądra, o mądra była Panna Agnieszka, a Twardowski ślépy! On nie widział, że ona, nie młodego, przystojnego zalotnika i kochanka, ale

sławnego w nim przyjmowała mędrca, ezeząc w jego osobie bóstwo swoje — żądę sławy i wzniesienia się. Lagodną mu była i powolną, bo w nim znała wielkiego człowieka — poehlebiało jęj, że ten dziw wieku, siedział przy nięj i z nią na słowa walezył. Dumna dziewczyna, ze swęj strony, już nawet snuła projekta wplątania go w miłostki, tak jak on chciał ją wplątać. Ale z tą różnicą, że ona czyniła to tylko przez dumę, a trochę może marząc i o bogactwach Mistrza, o których dziwy pletli; on zaś był na ten raz szczerze i zapaleczywie rozmiłowany w nięj. Zdawało się Pannie Agnieszce, że jeśli kto to ona, powinna go była usidlić — największa z kobięt (tak się ceniła) najslawniejszego z mężczyzn. — Wszystko czém kobięta zręczna pociągnąć może, wejrzenia, słowa, poehlebne wyrazy, wszystko użyte zostało. — Mistrz pełen radości odjeżdżając z przed bramy kamienicy P. Stanisława, jeszcze mocnięj palił się żądzą posiadania tego eudu wdzięków i mądrości, którego pozyskanie nierównie mu się teraz łatwięjszém wydawało, niż wprzód.

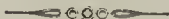
Oboje zarówno marzyli o sobie. Dobry był początek. Lecz gdy Mistrz rozważał jęj wdzięk-

ki, jćj twarz, kibić, ehód, ślachtetną postawę— ona myślała tylko o jego wielkiej sławie, imieniu i bogactwach. Była to zimna kobięta, którćj tylko powierzechowność szczęścieia i ezeze wielbienia tłumu wystarczały do żyecia. Bardzo się mylił Twardowski, czytając w jćj oczach zaród miłośnych ogniów — była w nich duma, upodobanie blasku, pragnienie wywyższenia się, ale ani śladu namiętności cielesnćj lub serdecznego przywiązania. Uczucia te przyschły w zarodku, a piękna Agnieszka, tak była zajęta wielkościami, iż dla pozyskania ich wszystko by była w życiu poświęciła, marząc nieraz we śnie, marząc nawet na jawie, o koronach, o okłaskach, podziwieniu tłumu, sławie i bogactwach.

Jak mógł tak wielki mędrzec tak bardzo w wyborze i poznaniu charakteru kobięty omylić się?— tego niewiém. Szatan to ehya mógłby wytłumaczyć, który zapewne zaród namiętności w serce jego rzucił, mając w tćm swój tajemniczy rachunek.

ROZDZIAŁ VI.

Jako szatan radził Twardowskiemu w jego miłości.



POCZĘŁY SIĘ od tego pierwszego poznania coraz widoczniejsze miłości, z któremi się obie strony nie kryły. Mistrz nawet biegł do kościołów, aby ją częściej widywać, chociaż ile razy chciał, widywał ją w domu; uczęszczał także na przechadzki i całkiem prawie swój czas téj miłości poświęcił. Każdy dzień zbliżał ich i poufalił z sobą. Dziwił się tylko Mistrz sobie, znając nieco lepiej kobiety, czém się to działo, iż panna Agnieszka, o której życzliwości dla siebie nie mógł wątpić, tak go onieśmiela-

ła, iż dotąd o miłości wyraźnie słowa jęj wyrzec nie śmiał. Ale cóż tu by były znaczyły słowa, przy tak jawnie już zaloty wykrywających czynnościach?

Panna Agnieszka zaś, nie tylko że nie była umyślnym powodem téj nieśmiałości Mistrza, lecz sama niecierpliwie oczekiwała oświadczeń, a często nawet wyprowadzać go na nie próbowała. Mistrz zaś czy to z nieśmiałości jakiegś dziwaczniejsz, choć gorzał miłością, czy z jakiegś rachuby — nie wiem — zwlekał stanowcze słowo.

Odbывała się w nim niepojęta walka.

Z jeduiej strony stawał do boju szatan ze swoim natchnieniem, z drugiej miłość — uczucie zawsze mniej więcej szlachetne i prawe. Walka toczyła się o to, czyli mistrz miał się żenić, czy tylko kochać? czy panna Agnieszka miała bydz jego żoną czy tylko kochanką?

Łatwo każdy pojmie, że gorącej miłości niedość było przemijającego tytułu kochanka. Zdawało się Mistrzowi (jak się to wszystkim w takim przypadku zdaje) że z równą siłą kochać ją będzie wieki — chciał więc mieć ją żoną.

Szatan mocno się temu przeciwil, i on to

zapewne oświadczenie stanowcze swojemi poddmuchami, wstrzymywał.

Mistrzu, mówił mu, miarkuj się, rozważ, to nieczinierne głupstwo, to niesłychane dziecinństwo, stracisz na sławie, stracisz na szczęściu, zwiążesz sobie ręce jedną kobietą, dasz jej prawo do twego życia, czasu, zatrudnień, majątku, wszystkiego; uczynisz się dobrowolnie lichym niewolnikiem jednej ładnej twarzyczki, z swobodnego króla! Nie dziwię się że jej żądasz, że ją chcesz posiadać, ani się temu przeziw — ale na cóż te śluby? na cóż dogonny węzeł, który tylko bez niebezpieczeństwa może wiązać uciekłych mieszczan i godnych pasibrzechów; ci bowiem potrzebują niewoli, nie potrafili by żyć bez postronka na szyi. Miarkuj tylko Mistrzu, ehciż rozważyć całą spawę, nie będzie li to małżeństwo rodzajem przeniewierzenia się piekłu z twój strony?

—Masz moją duszę, ja mam tym czasem moją wolę, odpowiedział Twardowski, daj mi pokój, uczynię co zechcę.

—Tać! zapewne, rzekł szatan—ale nabok interessa piekła, mówię tylko w twoim własnym. Chceszli ty koniecznie biedy, kłopotu, niewo-

li, dzieci i życia w troskach i znoju, zaprzędanego za dwa kwadransy śmietanki a długie lata mętów paskudnych? Chceszli żeby ci nawet niewolno było być szczęśliwym jak ci się podoba, gdy wszystkiem będziesz się musiał dzielić na dwoje?

Znasz że ty z resztą tę pannę Agnieszkę, wielkie twojej wyobraźni endo?

— Doskonale! odpowiedział Mistrz.— Jest to jedyna na ziemi kobieta, której ciało równie jest piękne jak dusza. — Naczynie i napój odpowiadają sobie.

— Doprawdy? zawołał szatan ze smiechem; cha! cha! sama zapewne uosobiona doskonałość, gdyż ty ją pokochałeś, ale ta doskonałość, porachuj się z sobą, czy cię potrafi uszczęśliwić? Czy ona się zgodzi z tobą? Tyś zwykł do swobody, ona do regularnego życia, jak zegar ratuszowy, który swoje dwadzieścia cztery godzin wybiwszy, znów od pierwszej niechybnie zaczyna. Ty dotąd nie znałeś nocy i dnia, nie znałeś koniecznego przeznaczenia godzin tej nieznośnej niewoli, nie znałeś żadnego musu, jadłeś, piłeś, spałeś, dumałeś, gdy ci się podobało. Na potem będziesz tylko o tyle swobodny,

o ile ci pozwoli twoja pani. Wyliczą ci godziny snu, jadła, kochania, uścisków, myśli i pracy. Każą ci iść spać, gdy się jejmość położy, jeść gdy będzie jadła, cieszyć się gdy będzie wesola, płakać gdy będzie smutna, ścisnąć gdy zapagnie uścisku. Nie będziesz już sobą, będziesz tylko jej cieniem, dopełnieniem jej, glossą przy tym żywym texcie. Gdy sidziesz dumać o wielkich przedmiotach, ona ci pod nos podetknie podarty twój kubrak, z wymówkami za zbyt prędkie jego znoszenie; gdy zaśniesz po trudach małżeńskiego życia, zbudzi cię pytając, co jutro będziesz jadł, opęta cię, obejmie, usidli, zwiąże i nmęczy.

—Dajże mi pokój z twemi przywidzeniami niewoli, rzekł Twardowski. Nie chcę jej mieć inaczéj tylko ślubem.

—Przyznam ci się, odpowiedział djabeł, że inaczéj jak wykradzioną mieć nie będziesz, bo choć ona cię żąda gorąco, choć P. Stanisław cię lubi—wiesz zapewne że pod tym tylko warunkiem zapisuje jej z żoną całe swoje mienie, aby szła koniecznie za ich krewniaczką, bogatego kupca. Jest on tak przynajmniej bogaty jak ty w oczach ludzi. Żadna zaś kobiéta, nie

rzuci pieniędzy dla miłości, chyba piętnastoletnia przepiórka, twoja zaś ma coś więcej podobno nad piętnaście. Jeśli masz łaski unieć, to tylko dla sławy twojej; ona cię kocha, boś wielkim człowiekiem, a zapewne nie szkodzą i wiesci chodzące o twój zamożności. Co się tycze jej, ona się ku tobie skłonić może, ale mówiłem ci przyczyny dla których nie zgodzą się jej krewni.

—Więc ją wykradnę, rzekł Mistrz, ale muszę się ożenić — ona inaczej, ręczę, nie zechce być moją i nie będzie.

—Hm! rzekł djabeł po namyśle. Trudna z wami rada. Bierzeć przynajmniej gdzieś ślub w lesie, w pustelniczćj chacie, albo w jakiej na rozdrożu opustoszałćj kaplicy. Ja się już dla was za xiędza przestroję; ty będziesz mógł powiedzieć, żeś mnie tam wezwał z klasztoru od S. Bernardyna.

Twardowski zamilkł, nie na to nie odpowiedział, spójrział na diabła i spuścił oczy, djabeł mówił dalej nie zmiészany.

—Nie wszystkoż ci to jedno?

—Oszukiwać!

—Miłość uczyniła cię Mistrzu do zbytku

trwożliwym. Dość na tém, że ślub będzie wedle formy, a gdy zechcesz ją potem porzucić.

—Porzucić! ja ją porzucić! zakrzyknął Twardowski wielkim głosem.


—No, no! nie krzycz tak bardzo i nie dziwuj się mojemu śmiałemu przypuszczeniu—powiesz jej potem, że djabeł ślub dawał. No—i kiedyż ją wykradniesz?

—Powoli, powoli! odpowiedział Mistrz, jeszcze z nią o tém ani słowa nie mówiłem, ani słowa nawet że ją kocham.

—Zda mi się, że już chyba nie powiesz, jeśliś tego dotąd nie uczynił, rzekł djabeł—ale możesz się obejść bez słów, jeśli cię one tyle kosztują. Można pismo posłać. Nadewszystko, dodał życzliwy doradzca, szafuj bez końca obietnicami zapisów, pieniędzy i t. d. — To nigdy nie szkodzi z temi ziemskimi aniołami. Potrzebują one złocić sobie skrzydelka, żeby się wydawały piękniejsze, a niema pozłoty, gdzie niema złota.

ROZDZIAŁ VII.

**O dziadach i babach i jak Twardowski
użył starćj Kachny.**



TWARDOWSKI po odejściu djabła, a raczćj tylko po zniknieniu jego, (gdyż szatan podobno nigdy go nie odstępował); rozważył dobrze jak mu postąpić wypadalo, uczuł że nie będzie mógł się nigdy zebrać na śmiałość oświadczenia Pannie Agnieszce, i postanowił wyprawić do nićj pismo.

Ułożył więc je, i w nićm odmalował swoją gorącą miłość, zresztą widoczną oddawna; przyrzekał jćj złote góry dostatków, niebieskie swobodne życie bez końca, szczęście bez chmu-

ry—Uznał słuszość djabelskiej rady i nie zaniedbał także wysoce podnieść stan swojego majątku, zapewniający im i wybór rodzaju życia i zupełną swobodę, bez żadnych obowiązków pracy. Nareszcie proponował Agnieszce, aby w Sobotę z Nieszporu, który u Panny Marij kończył się zwykle o zmroku, dała się uwieść w przygotowanej kolasie ludziom na to nastawionym. Zaręczał Twardowski że natychmiast ślub wezmą i prosił wręście, aby czyniąc wybór między bogatym i młodym głupcem, a bogatym i młodym filozofem, przeważyla też na szali przyszłość jednego i drugiego i nadzieje ich obydwuch. Choć wtem pewnie, że djabeł tego listu nie dyktował, ostatni jednak argument, gotowbym z trafności jemu przyznać.

Gdy pismo zostało skończone i czytelnie na liście papieru białego wykalligrafowane, tym charakterem xvi w. tak czystym a jednak niewyraźnym; zakłopotał się znowu Mistrz wyborem posłańca, któremu by je powierzył, aby pięknej oddał Agnieszce, z przyzwoitą ostrożnością, tajemniczo, roztropnie, ani przybyciem swém w niezwykłą porę, ani postacią swą nie obudzając podejrzeń, które P. Stanisław przenikliwy i

niedowierzający z natury łatwo mógł powziąć; gdyż się już poniekąd i zalotów domyślał i wiedział jak krewna jego nie życzyła sobie kupca za męża.

Po długim namyśle wpadł Twardowski na szczególny wniosek.—Wybrał na to poselstwo starą żebraczkę, babę, znaną w całym Krakowie z gadatliwości i mniemanych czarnoxięzkich wiadomości, we wszystkich domach dobrze przyjmowaną, znającą wszystkie progi od chat przedmieścia do pałaców i zamku, pośredniczącą nie w jednych miłostkach. Nim poznamy naszych czytelników osobiście z tą postacią charakterystyczną owych czasów, której podobne i podobni, składali w narodzie klasę oddzielną, pośredniczącą między ludem a klechą i xiędzem, pozwólmy sobie odskoczyć w bok i pogadać o dziadach i babach.—

Żebracy stanowili w Polsce jak wszędzie, od najdawniejszych czasów (bo od pogańskich jeszcze) osobną klasę, obyczajami, zajęciem, uprawą umysłową, fizjonomją swoją, od innych wielce różną. Poznanie tej klasy, dziś nawet nie jest bez ważności dla historij obyczajów. Oni niejako pośredniczyli między ludem a du-

chowienstwem, jeszcze zaś bardziej między ludem a kłechą. Od kłechy do dzwonnika, od dzwonnika do dziada a kruchty, nieznaczone tylko było przejście. Z jednćj strony dziad-żebrak, opierał się o lud z którego wyszedł, z drugićj o kościół i sług kościelnych, do których się liczył, żyjąc także z modlitwy i jałmużny. Żebracy stanowili niejako ostatni poziomy szczebeł sług kościelnych, byli ludu lekarzami, doradzcami, swatami, kumami; od kolebki do mogiły, dziad i baba, co chwila potrzebni byli dla chłopka. Baba przyjmowała dziecię gdy się narodziło, baba obmywała zziębłe ciało starca gdy umarł, kładła go w trumnę i śpiewała nad nim wigilje, których nie było czém xiędzu zapłacić, a żebrakowi dzban piwa i garnek kaszy nagradzał. Cokolwiek więcej w istocie mając oświaty, a udając tajemną wielką naukę, składającą niby tradycyjalny skarb kasty, wygrywali żebracy przed ludem łaknącym cudownych pomocy, pokładającym w nich nieogranieczoną wiarę, dla tego że lud zawsze gotów jest chwycić wszystko, co mu podaje jakąkolwiek polepszenia nadzieję.

Różne były przemysły żebraków, różne przez

nich używane sposoby weiskania się do domów, przypochlebiania wszelkim stanóm, i różnych lat ludziom, wzbudzania litości i wyżebrania jałmużny. Tym, którzy wierzyli w czary i sympatyczno-tajemnicze leki (a któż w nie jeszcze w xvi w. nie wierzył, począwszy od Biskupów, aż do Króla?) przysługiwali się zioly, maściami, napojami, zamawianiem i t. p., pobożnymi płacili za datek modlitwą, do bogatych wołali o litość zmyślając sobie rany, choroby, boleści, kalectwa, częstokroć zręcznie naśladowane. Najpospolitsze żebraków choroby bywały: — *Boza kaźń*, *obląkanie*, niemota, głuchota, ślepotą, wrzody, rany przykładaniem jaskierni zrobione, choroba S. Walentego, zwana pospolicie Walantym.

Strój dziada bywał rozmaity, najpospolicićj jak najnędzniejszy łachman go okrywał, płaszczałany, umyślnie odarty. Dodatkiem do niego bywały szczudła, bielagi czyli sakwy, *kalwica*, pudło zgięte noszone na plecach; odkryte i poranione nogi, obnażone piersi, potargane włosy, twarz dziko wykrzywiona, oczy krwią zaszele, broda rozsunięta na piersiach, głowa związana lada szmatą dziurawą, kij czyli kostur w ręku.

Inni udawający pielgrzymów lub istotnie pielgrzymujący z Polski do Rzymu, wcale się odmiennie odziewali, aby się od pospolitego żebractwa odróżnić. Oni stanowili arystokracją dziadowską. Nie wychodzili inaczéj z kraju jak z listem od Rady Miejskiéj lub innego urzędu pod pieczęcią danym; miewali téż przepisaną sobie drogę na papierku, o którą się wszędzie troskliwie wypytywali. Ci ubierali się jak inni prawie pielgrzymi obcych krajów, nosili ciemne szerokie płaszcze, tlómczki ze skóry na plecach, kapelusze ze sznurkami, u pasa wiszące paciórki, czasę miedzianą do czerpania wody, w ręku wysokie maczugi. Chodzili najczęściéj parami, długo wprzód wędrując po kraju, nim się puscili do Rzymu. Xięża, gdziekolwiek przybyli, zalecali ich z ambou litości zgromadzonych, jako podróżujących w celu pobożnym. W czasie nabożeństwa siadali w kruchtach kościelnych modląc i śpiévając, przedając pisane supplikacje, które rozdawali wchodzącym i wychodzącym, wielkim głosem dla zwrócenia uwagi intonując pieśni pobożne. Niżéj powiém o miejscach, do których żebractwo najwięcéj nęczęszczało.

Inni byli dziadowie chodzący po kraju z puszką, skarboną, po kweście dla pogrzałych i podupadłych kościołów, na dachy, na organy, na szpitale i t. p. Nosili oni puszkę na szyi zwieszoną i stawali po plebanjach wypraszając sobie także, aby ich plebani z ambon zalecali. Historje dziadowskie wzmiankują nieraz o wytrzeszczonych puszkach kwestarskich i podstawionej ręce zamiast skarbony.

Inni jeszcze byli kalecy z professij, udawający lub czasem istotnie chłoni, głusi, ślepi i niemi. Ci którzy mieli *Bożą karę* albo tak zwaną, chorobę Walantego, starali się najpotężniej rzucać, krzyczeć, targać w czasie samego nabożeństwa — w kościele, leżąc na smętarni; aby okrwawiwszy się, przedź litość pobudzić.

Drudzy odkrywali rany żebrząc, albo udawali szalonych, wyjąc, krzycząc niezrozumiale, wywracając oczy, belkocząc. Byli i tacy, co po wsiach i odosobnionych miejscach, upatrzawszy dogodną porę, gdy w chacie *samego* nie było, przywiązawszy sobie kawał wileczego ogona, wyjąc jak wilec, przechodzili udając wilkołaków. Postrzegłszy ich gospodyni, zapięrała drzwi i okna z wielkim strachem, podawała co przedź

gomółkę. Wilkołak nie chciał chleba, wyjąc groził że pójdzie w pole do bydła, jeśli mu co lepszego nie dadzą na zaspokojenie głodu; aż wytargował lepszą strawę u niebogi. Czasem gdy mu się udało napaść wieśniaczkę samą jedną, wpadał nim drzwi zaparła, zżymając się i oczyma łupiąc, mruczając coś pod nosem, rzucając szczyptami proszek jaki w garunki; aż dobrze przestraszywszy i matkę i siedzące za piecem dzieci, odszedł z czém tylko chciał. Z tą to poszło pewnie, że dzieci dziadami nie raz straszą, i nie bez przyczyny.

Było czasem ich interessem dostać sobie dziecię, aby niém także do litości nad swoim stanem pobudzić — kradli je więc, gdy swojego nie mieli. Rzadko się to jednak zdarzało, bo młodsze żebraczki dość płodne, chętnie sprzedawały zbywające dzieci starszym.

Byli i spokojniejsi, co woleli siedzieć nie włócząc się nad drogami. Na to wybierali oni pospolicie miejsca, u źródeł za cudowne mianych, u figur i Bożej-Męki, na ludnych gościńcach. Tu modląc się, jęczeli, podawali wodę przychodzącym, pokazywali drogę nieświadomym. Wśród puszczy nie raz na rozdrożu, u

starłej figury, widziano chatę zawaloną w ziemię, mchem porośłą; na szelest przychodnia ukazywał się z niej siwy staruszek podparty na kosturze i wyciągał rękę.

Niektórzy stale się trzymali kościołów, zostawiali dzwonnikami, posługaczami, a na przyległej wsi mieli przywilój leczenia ludzi i koni.

Baby strój, z małą odmianą był taki jak dziada — łachmany, *łoktusze* zwane ich językiem, u pasa zawsze nieodstępny garnek, służący równie do okadzania od czarów i złego ducha, jak też do składania danój sobie strawy.

Baby siedząc pod kościołem śpiewały *Różany wianek*. Ich głównym zatrudnieniem, było babienie, czary, leki, pilnowanie chorych ubogich szlachcianek przy połogach. W tym ostatnim przedmiocie chlubiły się osobliwszemi tajemnicami; wyraz *babienie* nawet śladem jest tych ich zatrudnień w języku. Baby i dziady najlepiej znali wszystkie ludu przesady, wszystkie złe i dobre wróżby, wszystkie ostróżności, jakie należało zachowywać, aby zło do domu nie weszło. Nosili z sobą świeczki woskowe, zioła różne (jak wyżlin i bylicę na przykład) maście na rany, wódki — kropili obory i stajnie,

pasieki i barcie, wróżyli z dłoni młodzieży jak cyganie, po lasach wiązali drobne gałązki zapustów, obliczając z nich ogromne drzewa za trzy lata i t. p. Oni to uczyli lud, że kto próżną konew spotka, ta mu wróży nieszczęście, że gdy co kracze w nocy na dachu, zapowiada także jakiś smutek, że we czwartek po południu nie godzi się praść kądzieli, ani w piątek piec chleba, że rydel nie powinien nigdy stać w izbie, ani próżna pokrywa na stole, że źle jest izbę na wspak zamiatać, że nie dobrze ciężarnym niewiastom za pogrzebem chodzić (w tém mogło być postrzeżenie nie próżne) radzili także czarownikom po śmierci łamać palec, żehy upiorem nie wstawały, żegnali chmury od gradobicia, żegnali dojuńce i garnki dla obfitości w domu. Oni leczyli ludzi, oni leczyli bydło od najpospolitszych u nas jego chorób — *Kurdzie-la*, *Napaści* i *Nogcia*. Sposób jeszcze jakim rady podawali, nuda tajemnicza, w obrzędach powaga jak przy najważniejszym akcie, mimowolnie wzbudzały wiarę u ludu. Lud też przypisywał im niesłychaną władzę, nieograniczone wiadomości, wiedzę wszystkiego — nie zawsze nawet za przyczynę tego podstawiał szatana,

owszem u niektórych żebraków widział w tém pełną tajemnic nagrodę Boską, za ich uędzne życie, cierpienia, upodlenie, ubóstwo. Nie umiem bowiem inaczej wytłumaczyć wiary w ich modlitwy, z wiarą w ich cudowne leki i zamawiania.

Baby pospolicićj niż dziadowie, trudniły się wszelkiego rodzaju lekarstwy i czarami, nigdy one, nie okurzywszy przynajmniej izby od *złego*, nie wychodziły z chaty, w której im dano jałmużnę. — Lud bojąc się jakiego nasłania, dawać musiał zawsze. Oprócz tego dawniej kiedy jeszcze stany wszystkie mnićj się od siebie oddzielały i więcej z sobą połączone były, dopomagały do strojenia się ubogim szlachciankom, piękowały ich twarz, uczyły brwi i włosy farbować, zwały i udzielały miłosnych napojów, przynosiły zioła (często potrzebne) pomagające nieplodnością rozpustnemu życiu, także inne rzeczy tenże skutek wywierać mające, jako trzaski z trumny, mech z kościelnego dachu i t. d., które kładziono do łóżek — były powiernicami wszystkich dolegliwości, wiedziały wszystko, wpływały do wszystkiego, co się w obrębie ich wędrówek działo. Złamał kto

nogę — one zażęgnywały ranę od ognia i puchliny i one leczyły wrzody i wyrzuty, one umiały niepotrzebny plód zniszczyć, zapobiedz aby go nie było więcej, znały znouu sposób zaradzenia niepożądanęj nieplodności kobiet, a niemocy mężów, godziły i kłóciły małżeństwa, dawały rady względem wychowania dzieci. Nie raz namawiały na złe dziewczęta i ułatwiały chłopcom umizgi, przenosząc z obu stron poselstwa, namawiając, sprowadzając i t. p. Dziady czasem znouu zmieniając się w wendetarzy, trudnili się przekupstwem, tu żebrząc o lachman, lub chwytając ukradkiem, tam go znouu sprzedając. — Handel ich zależał na starém odzieniu, obówin, świnkach, kurach; lecz najgłówniejszemi jego artykułami były różne leki, wódki, maście, wody z cudownych źródeł, świeczki, które sprzedawali na odpustach, wyrabiane z wosku nogi, ręce, serca — na wota do kościołów, krzyżyki drewniane. Wieśniacy to wszystko brali i za wszystko placili; czasem uboższa szlachta.

Każdą prawie babę miało pospółstwo za czarownicę — wierzył lud że one wszystkie wywróciwszy koszulę na niec, we czwartek na

młodziku, wylatywały z izby średniem oknem lub kominem, na ożogu, na Podgóorską granicę, że się ndawały dla jakichś obrzędów na rez-stajne drogi, że się stawaly gdy chciały niewi-działkami lub przybięrały różne dziwaczne po-stacie zwierząt, kołów, sów, kóz i t. p., że mo-cą ziół jakichś otwierały zamki, po powrozach mogły wdrapywać się na wysokości, chodzić su-chą nogą po wodzie: że mięwały zachwyecenia, w których widywały cudowne rzeczy; że najpo-spolicięj zmienialy się dwa razy w miesiąc, raz na młodziku, drugi raz gdy księżyc schodził, że w nocy przybięrały czasem postać śmierci, w po-łudnie przy-południu, wieczorem wiedmy lub latawicy. Latawice duch zły, był z niemi w szczególniej zażyłości i zgodzie, on także mie-nił się w różne postacie, sławny był z tego, że za prośbą lub umową, nosił z cudzej spiżarni wszystko czego mógł dostać, dla swoich przy-jaciół.

Lecz już dość wreście tego wyliczania — jeszcze jedno i najgłówniejsze pono po ba-bieniu zatrudnienie bab, było — obmywać umar-łych, kłaść ich do truny i śpiewać nad nimi wigilje. Ledwie kto w chacie powieki zawarł,

jedni ze strachu, drudzy z przywiązania nie mogli ostateńcj oddać mu posługi; biegł parobek po babę, która zawsze do tego była gotowa, gdyż to było może najzyskowniejsze z jej zatrudnień.

Powiedziani już że lud lękał się bab, którym także przyznawał władzę narzucania paralizu, głupoty, febry i t. p. wywarami z różnych ziół, zbieranych w pewną determinowaną porę.

Baby i dziady po dwoje lub troje, włóczyły się nieustannie z odpustu na odpust, z jarmarku na jarmark; rzadko razem szli w większej liczbie, bo by sobie sami przez to szkodzili. Ślepy ze swoim przewodnikiem, chromy i towarzysz, głuchy z chromym, chromy ze ślepym, dziad z babą przyjaciółką, chodzili dzieląc się jałmużną zebraną, niekiedy drąc i kłócąc się o nią. Na odpustach niezliczone ich emy zasiadały smętarze kościelne, śpiwając, wykrzykując, ukazując rany, ofiarując świeczki na sprzedaż, maści, leki, zioła, udając kaźń Bożą, obłąkanie, paraliż. Dzień zaduszny jest i po dziś dzień, jak był zdawna, wielkim dniem w roku dla żebraka, dniem najsutszej jałmużny za dusze zmarłe, którą każdy daje, bo każdy

ma kogoś na tamtym świecie, po kim płacze, za którego pragnie modły zakupić.

W Polsce najslawniejsze stekiem żebraków miejsca były — Częstochowa, nowa Kalwarja, S. Krzyż na łysiej górze, Leżajsk, Staszówka, Szczepanów, Gniezno na S. Wojciech, Pilzno na S. Jan, Rzeszów na sławny jarmark, Jarosław na N. Pannę Zielną, Przemyśl na S. Michał, Łekina na S. Bartłomiej, Chełm w Lesie, Zawady za Dęlicą, kościół S. Piotra koło Dobrzechowa i t. d. W Zawadach była niejaki czas figura ukrzyżowanego Zbawiciela cudowna, z której boku woda ciekła, a tę dziadowie roznosili i sprzedawali, gdyż lud wielce jęj był chciwy. Prócz tego pielgrzymowało dziadostwo daleko w cudze kraje za chlebem, a najpospolicij do sąsiadów, wyroliwszy sobie list pod pieczęcią. Tłoczyli się oni do Węgier, pod wielkim strachem (jak powiadali) przebywając napelnione hultajami Bieszczady; do Siedmigródzkiej ziemi, do Wołoch; szli zdrowsi nieraz do Kozaków i tam przystawali, inni do Pruss, do Moskwy, do Szląska, do Moraw. Niektórzy przy żebraniu trudnili się też przeprowadzaniem koni kradzionych, należąc do cy-

gańskiej ligi, częstokroć nawet mniej świadome ich kupy wiodąc po kraju, ubocznemi gdy tego było potrzeba manowcami.

Stykali się oni nieraz z możniejszą klasą, której byli potrzebni, do przenoszenia tajemnych korespondencji, do szpiegowania wojsk, osób i t. p. Tak jeden z nich w XV wieku, przenosząc listy od Zygmunta Cesarza do Krzyżaków, zmarł w drodze i tajemnica się wydała; inni (bo było ich więcej) umknęli. Tak Xiążę Siemion Słucki przekradł się przez dobrze strzeżone bramy Lwowa, do przyrzeczonej sobie xiężniczki Halszki Ostrogskiej. Tu napomknem o zwyczaju trzymania do chrztu dzieci możliwych przez dziadów, aby się hodowały (*)

Najpoetyczniejszą postacią u nas, byli żebracy ślepi, dudarze i gęślarze, chodzący po wsiach i dworach z pieśniami narodowemi ludu, i nabożnemi. Powiadają że zyskowna ta żebrania tak dalece była dobrym chlebem, iż zwykłe syn po ojcu gęśle dziedziczył, a z nią ślepotę, umysłnie w dzieciństwie zrobioną.

Najrozwiązlejsza klasa włóczących się dzia-

(*) J. Żochowski.

dów, miała służący jój mianowicie do porozumień we względzie kradzieży, oddzielny i właściwy swój język, o którym wspominają dawni pisarze nasi, że nim rozmawiali niezrozumiani od nikogo. Był to język ich rzemiosła, który, jak język Flisów, jak język myśliwych, miał i swoje własne wyrazy (poczęści) i więcej jeszcze składał się z poepolitych, którym nadawano dziwne znaczenie.

Z tego cośmy tu już napisali, łatwo poznać jak żebracy wielkie miejsce zajmowali wżyciu prostego ludu, jak wielki nań wpływ wywierali. Baba przyjmowała rodzące się dziecię, baba matkę dozierała przy pologu, często bywała kumą, nie jeden raz potém swachą, nie jeden raz lekarką, a gdy umarł starzec, baba znów omywała go, kładła do truny i śpiewała wigilje. Proste przysłowie — gdzie djabeł nie może, tam babę pośle — małuje jak wiele mogły baby. Gadki też gminne rzadko się bez pośrednictwa dziada lub baby obchodzą, tych tajemniczych postaci, niewiadomo gdzie urodzonych i nieśmiertelnych, bo zawsze po sobie następujących bez przerwy i końca.

Obyczaje téj klasy były jak najdziwaczniéj-

szą mieszaniną, nabożeństwa i przesądów, modlitw i występków. Usłużne żebractwo miało jakąś popularną gadkę na wymówienie każdego występku, tak właśnie jak miało lekarstwo (uniemane) na każdą chorobę za kawałek chleba i kilka groszy; uspokajało nie jedno sumienie i nie jedną bojaźń chorobliwą rozpędzało. Tajemnicze życie, wiek, obyczaje, tradycyjne o nich powieści, wszystko w oczach ludu okrywało żebraków jakimś nrokiem dziwnym, natchnąć miało wiarę w gusła ich, bojaźń i uszanowanie pewne dla nich.

W istocie często straszna była zemsta tych ludzi, których z trudnością dotknąć mogły prawa, a żadna nie wstrzymywała pospolicie wiara i sumienie. Nieraz rzucili ogień pod stodołę, ziele szkodliwe do jadła.—Jednym słowem żebracy wówczas, tacy jakichesmy odmalowali, byli dla ludu ciągle potrzebnymi, czasem niebezpiecznymi, ustawicznie nasuwającymi się.

Imy nieco był żebrak właściwie miejski, lecz tylko o tyle, o ile wpływał na niego odmienny nieco rodzaj życia i otaczający go ludzie. Żebrak miejski trochę oświecenszy, równie

zepsuty, przebiegłjszym był jeszcze od innych.

Zebracy w miastach prędko zbierać się zaczęli w kształt bractw, czyli cechów uprzywilejowanych. Mieli oni swoje wpisy, sięgi, pisarza, urzędników, skarboneę, biczowników pilnujących aby obcy przybysze miejskim chleba nie odbierali, zasiadając pod kościołami za jałmużną, lub włócząc się po mieście. Już w XVI wieku poksztaleciły się takie bractwa u nas, mające swoją gospodę do schadzek w mieście, obowiązane starać się dla członków swych o chleba przy skonaniu i pogrzeb choć w polu. Przybywający do miasta litownicy, którzy o okup jako więźnie, albo o pomoc jak pielgrzymi dopraszali się, prosząc o zalecenie ich z ambon, stawić się byli obowiązani wprzód do gospody brackiej i papiéry swoje okazać, w mieście nie wolno było ran odkrywać i dzieci nosić. Co cztery pospolicie niedziele odbywały się schadzki, których protokół pisano. Wczasie głodów tylko i morów, gdy niezwykły był napływ ludu do miasta, porządek ten ustawał.

Ubodzy szpitalni mieli sobie wyznaczony

czas siedzenia na ulicach, pospolicie około Wszystkich Świętych i wielkiej nocy. Starszyzną obierano z dzwonników, cerkiewnych, zborowych, kościelnych.

Należący do braetwa siadywali niekiedy w bndkach umyślnie skleconych, przy kruchcie kościelnej.

W ogólności żebrak w mieście mniej miał swobody, baczniejsze Magistraty nie dawały brózdzić, pod karą pęgiarza, chlosty i wygnania z miasta; w razie dowiedzionych ezarów, lub tylko inteneij—palono bez przebaczenia. Swobodniejsze było życie żebraka na wsi, w ciągłej wesołej od proga do proga pielgrzymce, po znajomiej okolicy, gdzie często w starym dziadku starą witano znajomość. Że wpływ żebraków był demoralizującym dla ludu, niewątpliwa—nie jeden dał się im nawieść do zbrodni, nie jeden patrząc na nich zasmakował w próżniactwie, tulaćwie i żebraninie; nie jednemu pomogli oni do ukrycia bezkarnego pierwszój zbrodni, co było zachętą do dalszych.

Oprócz tych, o jakichśmy wspomnieli stosunków z możniejszą klasą, przypomnijmy te,

jakie się zawiązywały, przy często w XV i XVI wieku zdarzających się ucztach dla żebraków, przez panów, duchownych, mianowicie Biskupów, dawanych. Do tych policzmy i obrzęd wielkoczwartkowy.

Oswiecenie tej klasy na czém właściwie zależało? Na umiejętności pieśni pobożnych, modlitw, litanij i t. d., znajomości tradycij miejscowych, gadek, przysłów, piosnek ludu; tradycyjalnych także formułach czarnoxieżkich i guslarskich; na poznawaniu ziół i niejakiem ich własności różnych pojęciu. — Oto podobno wszystko. Dodamy tylko że baby, uczyły się praktycznie usługiwać położnicom.

Taka to była ta klasa ludu, z której Mistrz wybrał posłankę do panny Agnieszki!

Znal cały kłaków starą kachnę, brudną, garbatą, odartą, lecz wyszczekaną, wszystko wiedzącą i chytrą babę. I lud na przedmieściach, i panowie po swoich kamienicach, witali ją jak znajomą. Jednym rozdawała leki, obiecywała modlitwy, drugich bawiła wesolami plotkami i dowcipną gawędą, w której nikomu, często nawet przytomnym nie przepuszczała. Nie prosiła ona jałmużny, ale przychodziła po nią

jak po swoją należność, targowała się jak o zapłatę. Słowem, długie lata praktyki żebrackiej, pewna znajomość ludzi z powierzehowności ich (którą zawsze dziadowie i handlarze mniej więcej posiadają) przytém pobożność i niesplamiona dotąd żadnym wielkim występkiem opinia, nadawały jęj smiałość, i jakiś cale odrębny postępowania sposób, który w skutek wymienionych przyczyn nikogo już nie dziwił.

Zwołał ją Mistrz gdy szła przez ulicę.

— N. Panno Częstochowska! zawołała drąc się po wschodach; czarnoksiężnik chce czegoś ode mnie! No! no! to coś osobliwego, nigdy się nie spodziewała, że mu się mogą zdać na co!

— Niech będzie poehwalony! rzekła wchodząc do izby z niskim ukłonem.

Mistrz zaczął od wrzucenia jęj w rękę obfitej jałmużny. Stara potrząsnęła nią na dłoni i spoglądając w oczy Twardowskiemu spytała.

— Wszystko dla mnie?

— Wszystko dla ciebie! odpowiedział Mistrz, ale nie darmo.

— Wątpię żebyś chciał modlitwy albo lekarstwa. W pierwsze nie wierzysz, a drugiego i sam masz podobatkiem.

—Zgadnij że czego chcę od ciebie.

—A pokaż no mi dłoń, rzekła stara wyciągając rękę.

Twardowski podał ją z uśmiechem.

—No! no! odezwala się po chwili Rachna potrząsając głową; chodzi tu o jakąś dziewczynę, szyję bym dala.

—Zgadłaś stara! Chodzi o to żebyś to pismo odniosła pannie, która mieszka w kamienicy P. Stanisława Poraja, jego krewnie Agnieszce.

—Wolałabym pójść z tém pismém do pannen fraucymeru królowej starcj, jak do tej panny! Aj! dumnaż! bo dumna! rzekłbyś że się urodziła na królowę. Bardzo się boję mój dobrodzieju, żeby tym samém pismem w łeb nie dostała i że w schodów nie spadła.

—Bądź spokojna! szepniesz jej tylko od kogo! Chodzi tylko o to, aby cię nikt oddającą pisma nie zobaczył, aby nawet nie uważano że masz do niej interess.

—O! mój dobrodzieju! odpowiedziała Rachna, czy to mnie pićrwszy raz! Jakem była młodszą, tom się ja sama umizgała, bo to mi teraz tego garba narosło; prosta byłam jak trzcina.

Teraz na starość lubię ludziom pomagać, i to jakoś lechce po sercu—kiedy człek pić nie może, patrzy przynajmniej jak drudzy piją. Już to nie chwałąc się, w całym Krakowie i na podgórzu, ba i w całej Polsce, niema do tego zręczniejszej ode mnie. Znają mnie tu dobrze wszyscy, a nie jeden choć starą i smierdzącą, ucałował za dobrą nowinę. Bądźcie dobrzej myśli, sprawię się należycie. Byłaby głupia, żeby z waszmością jeszcze stroiła ceregiele.

—Tylko pokornie z nią, zdaleka, bo wiesz że dumna jak królowa! rzekł Mistrz—a nade wszystko ostróżnie.

—Bądźcie tylko spokojni! poznam ją ptaszka po piórkach, a człeka po wejrzeniu—wiem z której strony poeząć! A wszystkie one dobrodzieju, jednakowe, tylko każda z nich jak wielkanoene jaje, inaczéj po wrieczlu malowana—w środku dalibóg to samo!

I śmiejąc się wyszła.

ROZDZIAŁ VIII.

Jaka była odpowiedź panny Agnieszki,



NIECIERPLIWIE Mistrz powrotu Kacbny wyglądał, ale tego dnia nie przyszła. Nazajutrz dopiero po cichu, niby pacierze klepiąc, weisnęła się na wschody, a tak tam krzycząc pasowała się z broniącą jej przystępu czeladzią, że głos usłyszawszy Mistrz, wybiegł sam z komnaty. Ona jęła dopiero sługi łajać, a mrugać na Mistrza, aby ich porozpędzał.

Skinął Twardowski—ustąpili. Dopiero kiwając głową i wlepiwszy w niego szare oczy zaczerwienione, rozwinęła płachtę brudną, z której wydobyła zwinięte pismo.

Porwał je skwapliwie Mistrz i z bijącym sercem czytał.

Zgadnijcie co w niém było.

Agnieszka przyjmowała podany projekt, ale pod przysięgą ze strony Mistrza, że zaraz słuh wezmą. Kto by był sądził z pisma mógłby sądzić, że miłość tego cudu n dumnej dziewczki dokazała. Nic tak jednak całe było! Sercu jój dogadzały bogactwa narzeczonego i jego wielka sława.

Nie posiadając się z radości, Twardowski jakby oszalały, rzucił starój Rachnie kiesę z pieniędzmi. Porwała ją chciwie baba z iskrzącemi oczyma, ale chowając go pod suknią i fartuchem do skórzanych kieszeni, te jeszcze słowa powiedziała.

— Szczęść że wam Panie Boże! boście warci szczęścia, i umiecie biędnemu ciężką pracę nagrodzić, nie tak jak drugi, co jeszcze nalaje, i nawymyśla, żeby mu mniój dać uszło. Ale bez uroku (i tu splunęła) choć *wasza* bardzo piękna, teraz ja się jój przypatrzyłam, ale do paralsza dumna. Na kiegoście bo kęduka pokochali się w tój królowej. Niewygodne to szczęście, co mu się kłaniać raz w raz potrzeba i klęzcć przed niém.

Twarilowski dał jęj znak ręką aby zamilkła, i nie nie odpowiedział, wpadł nazad do komnaty. Z wielkiem podziwieniem swoim zastał w niej Bernardyna, który z pokorną miną stał za stołem.

— A Waszmość co tu robicie i którędyście tu weszli? spytał zdziwiony, stając na progu.

— Gotów jestem choć zaraz ślub dawać, odpowiedział zakapturzony mnich. Potém zsunawszy kaptura i ukazując szyderskie rysy szatańskiej twarzy — dodał.

— Wszakże masz już słowo panny Agnieszki?

— Zkądże o tém wiész?

— Wié już o tém cały prawie Kraków, bo stara Kachna idąc, komu mogła śpiewała tę nowinę w uszy po drodze.

— A niechże ją ubiją, tę starą żmiję! krzyknął Mistrz porywając się i wybiegając na wschody. Ona mnie zgubi swoim językiem. Do soboty jeszcze dwa dni.

Wnet wysłał sługi, ale ci już nie dognali Kachny, która wpadłszy do najbliższej gospody, pić ze swemi poczęła i już zabierała się z pozyskanym posagiem, a garbem w dodatku,

wyswatać za młodego ślepea, który jój się bardzo podobał.

Powrócili z niczém, gdyż szukali na ulicach, gdy ona pila w karczmie pod bokiem. Mistrz srodze się frasował.

— Nie bój się niczego, odpowiedział mu diabeł, od tych którym ona to rozplecie nie dójdzie wiadomość do P. Stanisława, a panna Agnieszka pewnie ci słowo strzyma. Daj tylko Boże, abys z nią był tak szczęśliwy, jak dziś masz nadzieję. Co ja, to płacząc nad tobą, żał mi żeś się tak dał związać i opętać! Ale kiedy już masz ginąć, dla jednéj nocy wesolój, niechże ja ci dam ślub przynajmniej. Widzisz że jestem choć w téj chwili gotów! —

— No — no — *Vade retro* i zostaw mnie samym odpowiedział Mistrz — mam wiele do czynienia, mnóstwo przygotowań.

— Powierz mnie co do roboty! potrafię ci być użytecznym.

— Ty tylko dopomożesz mi ją uwieść — postawisz konie i będziesz przewodnikiem do kappiczki w lesie. A teraz powtarzam ci: *Vade retro*.

To mówiąc Twardowski klasnął na sługi
Tom II.

począł wydawać rozkazy, tych konno, tych wozami w różne strony porozsyłał, innych pieszo w miasto. Dwuch diablów także za jakimś ingredientem poleciało — Ruch nieustanny i przybory trwały w domu Mistrza, aż do soboty i owych niesporów.



ROZDZIAŁ IX.

Jako się Twardowski ożenił, i co było
na weselu?

PRZED kościołem Panny Maryi w Krakowie, stała poczwórna kolasa. Konie w niej były kare, bez żadnej odmiany, rosłe fryzy, bogaty na nich szór, woźnica zakapuzony w ciemnej barwie, dwóch obok pacholców konnych. U stopni stał wysoki mężczyzna uwinięty szerokim czarnym płaszczem, w kapeluszu z piórami czarnemi.— Niekiedy zachodził on przed konie, jakby się im przypatrywał, niekiedy znowu stawał na stopniu, a w chwilę pędził pod krużganek kościelny, wyglądając końca nieszpórów.

Był to Twardowski, kolasa czarna miała uwieść pannę Agnieszkę z kościoła. Zmierzchało właśnie, ostatki czerwoności słonecznej dogorywały na zachodzie, w kościele dzwoniono we wszystkie dzwony na *Magnificat*. Liczny tłum bab i dziadów nie mogących znaleźć miejsca w kruchej kościelnej, lub nie mających prawa zebrać jałmużny u drzwi, smuł się na placu przed kościołem, napełniając powietrze śpiewem wrzaskliwym i jęklivymi prośbami, wykrzyknikami, a nawet przekleństwami.

Dalej nicco stali służący, konie jezdne i kolasy. Między nimi wszystkiemi celował zaprząg i powóz Mistrza, już to piękną fryzów i kolasy, już dziwaczny wyberem czarnej barwy, która raczej kondukt pogrzebowy, niż wesele przypominała.

Skończył się wreszcie nieszpór, lud tłumnie z kościoła wysypywać się zaczął, Twardowski odepchnięty ode drzwi, niespokojny, z okiem wlepionem w wychodzących, szukał panny Agnieszki w tej ciżbie, z którą mnóstwo obiorów i twarzy przesuwalo się z szybkością przed nim. Kilka razy omyłony chwycił obce osoby i odskakiwał od nich, szukając swojej w innej

stronie. Nareszcie gdy wszystek tłum wypłynął, i pojedynczo tylko przypóźnieni nabożni wysuwać się zaczęli, postrzegł Mistrz między nimi, jasniejące oblicze panny Agnieszki, ożywione, pogodne, jak gdyby w najspokojniejszej chwili życia, jakby nie o krok od wykradzenia, ucieczki i potajemnych ślubów. Wnet poskoczył Mistrz za nią, i za długi wiszący rękaw jej sukni, kłaniając się nisko, zlełka zatrzymał, szepcząc.

— Wszystko gotowe!

— Spodziéwałamsię tego, odpowiedziała spokojnie — jedźmy!

I wiedziona przez Mistrza zbliżyła się do kołasy. Śludzy podniesli ją na rękę i posadzili, Twardowski skoczył na podanego konia, zawrócili w ulicę i polecicli czwałem.

Chmurno było i coraz chmurzyło się bardziej na niebie. Była to pora wiosenna, ale nie téj zielonéj i wesoléj wiosny, która duszę napelnia życiem i nadzieją, odmładza starych, dodaje sił młodym; — ale téj smutnéj jeszcze i nagicéj, która niéma żadnego wdzięku, nie zielonego, świeżego i srodkuje jeszcze między zimą a wiosną prawdziwą, podobniejszą do jesieni

niż do wiosny. Gdzie niegdzie jeszcze płaty szerokie śniegu, bielaly na czarniej ziemi, powietrze ciepłe było i wilgotne, niebo chmurne i czarne, wiatr przenikający choć nie chłodny. Droga była szkaradna, ale woźnica uprzedzony o potrzebie pośpiechu, nie zważał na to i wiadomcami sobie manowcami, po pagórkach pędził, nie dbając o błoto bryzgające dookoła, ani na częste przechylenie się kolasy.

Tak w milczeniu lecieli długo, długo—Mistrz w ślad za nimi konno gonił i kolasę dościgał. Zaszła czerwona luna zachodnia, wszedł xiężyc, uspokoił się wichor, konie jeszcze leciały; nareście wpadli w zarośla, potem w las, koniom zwolnił biegu woźnica; stanęli u wrót opuszczonej w lesie kapliczki. Tu już błyskało światelko i u ołtarza mnich zakapturzony, w stule, czekał państwa młodych. Twardowski zeskoczył z konia i wprowadził do kaplicy pannę Agnieszkę.

To miejsce nie szczególniej było na obrzęd ślubowi wybrane. Opuszczona dawno, smutna, czarna, zrujnowana kaplica. Mury jej przesiekłe były wilgocią, okna potrzaskane od wiatrów i burzy, pełno gratów wałało się na podłodze,

ławki były połamane, obrazy podarte szmatami wisiały na ścianach, gdzie niegdzie goździem przytrzymane.

Ołtarz brudny ledwie obrus okrywał, a w dwóch drewnianych okapanych lichtarzach, paliły się dwie świece, których długie knoty oznajmowały jak długo czekano na nowożeńców. Nie można było wehodząc w to miejsce, oprzeć się mimowolnemu smutkowi, jakiem przejmowało to opustoszenie, ta śmierć wszystkiego. Na dobitkę jeszcze, zdarty i okapany woskiem całun z białym krzyżem, rozesłany był na stopniach ołtarza, zamiast kobierca. Uderzyło to Mistrza, uderzyło pannę Agnieszkę, ale on nie wierzył w żadne wróżby, ona nadto się śpieszyła do ślubu upragnionego, żeby się taką fraszką wstrzymać dała.

Zaledwie stanęli u ołtarza, rozpoczął się ślub z taką szybkością, że odpowiedzi ledwie za zapytaniami zdążyć mogły. Zamiana pierścieni, związanie rąk stulą, wszystko to spletało się jak we śnie.— Chwila — i już znowu Twardowski unosząc na ręku żonę, siadał do kolasy, a konia swego oddawszy służbę, pędził z nią nazad do Krakowa. Piękna Agnieszka, uwinięta

szerokiém futrem, śmiała się i wesoło wyglądając rycło li przybędą do miasta, odpowiadała śmiało i swobodnie, bez żadnej oznaki wewnętrznego poruszenia, na pełne gorących żądź zaczepki męża. Już miało świtać, gdy w mgle dymów porannych ukazały się wieże Krakowa. Wkrótce woźnica jechał już uliczkami przedmieść, a właśnie wśród powszechniej ciszy dzwoniło na Jutrznia, gdy powóz zastanowił się u wrót kamienicy Mistrza.

Te były otwarte; ciżba sług stała czekając rozsypana wzdłuż sieni, wschodów, na ulicy. Dopały się światła oczekiwaniem całonocném strawione. — Pilniéjsi pacholcy krzatali się, inni pokotem leżąc drzémali snem porannym. Na górze słybać było wrzawę wielką. P. Agnieszka spójrzała na męża.

— Cóż to za krzyk? u ciebie są goście?

— Sprosiłem ich na wesele — odpowiedział Mistrz z uśmiechem.

Pani Twardowska zarumieniła się z radości i poprawiła zmiętą podróżą i uściskami męża sukni. W tém otwarły się podwójce szeroko, ukazała się wielka sala, wybita czerwonym adamaszkiem ze złotym galonem, wspaniale oświe-

cona. W pośrodku niej był stół polyskujący od sreber, nad nim stęrezały liczne głowy biesiadników, których hałas przybywającej kolasy z opicia przebudził i na drżące nogi postawił.

Powitani okrzykiem wesołym, weszli państwo młodzi. Ale zaledwie pani Twardowska odkryła twarz swą ich cheiwym oczom, kilka krzyków dały się słyszeć z tłumu, krzyków gniewu, oburzenia, złości, przekleństw i groźby.

— Agnieszka!

— Ona!

— Moja wychowanka!

— Moja narzeczona! wolali.

Mistrz bowiem wszystkich sprosił, a nikomu imienia swój przyszłej żony powiedzieć nie chciał.

Stary P. Stanisław z rozognioną twarzą, przeciskając się, z tłumu gości wyskoczył.

— Mości Panie! krzyknął, to zgroza! to *scandalum*! to rozpusta! Waszmość śmiałeś podmówić moją krewną, porwać z mego domu narzeczoną innemu, wpół już jego małżonkę! Waszmość śmiałeś jeszcze jakby na urągowisko mnie tu zaprosić, abym był świadkiem jego rozpusty i na swoje własne npokorzenie patrzył. Dobądź szabli i bij się — jesteś szlachcie.—

— Hola! hola! wołali drudzy hamując.

— Stójcie! stójcie! krzychały kobiety.

Pani Twardowska zdumiona i przerażona cofała się za męża. Przystąpił kupiec *pseudo-narzeczony*.

— Waszmość odważyłeś się następując na *securitatem* uczciwego domu, porwać z niego osobę już mnie za *konsensem* jej krewnych przyrzeczoną? — Waszmość mnie porwałś moją własność jak zbójca — ja się naprzód bić będę — ja, ja — hola, dajcie mi szablę!

— Cicho mieszczaku! ozwał się ktoś z przyjaciół Mistrza, nie masz prawa do szabli boś nie szlachcic, na kije chyba z tobą wystąpi z nas który.

Tymczasem spokojniejsi wszczynając się wrzawę starali się zahamować, nie dając się do siebie zbliżać rozgniewanym, rozprowadzając ich. Hałas jednak rósł co chwila. W tém śniała pani Twardowska, wystąpiła zza męża i zawołała do P. Poraja i jego krewniaczka.

— Czego to Waszmość chcecie, i o co wszczynacie wrzawę? Komuż to z was przysięgłam na niewolę, że mnie swoją jak bydlę kupione zowiecie? Jestem li Waszmości córką P. Stani-

sławie, żeś mną bez méj woli chciał rozporządzać? Jestem li twoją żoną panie Dominaszku, że się o mnie jak o swoją dopominasz? Co za prawo macie do mnie? jestem sierota, zrobiłam co chciałam — wy wydziedziczenie i rzecz skończona.

— Nie do ciebie mowa, szalona palko, odpowiedział zajątrzony P. Stanisław, ale do tego co cię porwał. Frez białogłowo do kądzieli i garnków, a ty wystąp z szablą. Przypłacisz mi srodze to urągowisko, na jakieś mnie wystawił.

Mistrz, który, jakby go wcale obelgi groźby nie dotyczyły, milczał, dotąd uśmiechając się tylko, ozwał się nareście.

— Powoli, powoli! Trzebaż wprzód, żebyście potańcowali na mojem weselu. — Hej, grajkwie, a nu w skrzypce!

Tylko co te słowa wyrzekł, wstąpili na ławy grajki z niemiecka ubrani i jeszcze się P. Stanisław szamotał, jeszcze kłął Dominaszek okropnie, gdy na głos czarodziejski smyczka, kłując, wrzeszcząc, wywijając kijami i szablami, wszyscy przytomni, przytrzymując się, próżno usiłując ustać; poszli mimowoli w taniec szalony do koła stołu.

Mistrz ich tak oczarował, że wszyscy, wiele ich tam podówczas było, opętanemi puścili się skoki, a choć pełni złości, klęli, bić chcieli, popychali się, tańcowali jednak. Zagniewani, zmordowani, bezprzytomni, kręcili się z odgłosem czarodziejskiej muzyki, która nie ustawała. Już dzień był biały, a oni jeszcze zwijali się po sali podkasawszy pół. Nareszcie P. Stanisław wypraszać się zaczął.

— Mistrzu, wołał, każ ustać kapeli, ty nas w śmierć pozamęczasz! do licha! uwolnij od tej męczarni. Daruję ci wszystko, noga moja u ciebie nie postanie. — W Imię Boga, każ tej przeklętej kapeli ustać! Dominaszku przytrzymaj mnie z całych sił.

Dominaszek tańcząc chwycił P. Stanisława, ale ledwie się go dotknął, rozlatywali się, każdy w inną stronę, jak dwie rozpędzone i uderzone o siebie pilki.

Mistrz z żoną śmiał się do rozpuku; aż wreszcie gdy ujrzał, że się dobrze uznoili wszyscy, dał znak. — Ustała muzyka, wszyscy na ziemię popadali; a wielu i powstać nie mogło.

Wnet stół pokrył się misami srebrzystymi, potrawy, dzbanami — rozpoczęła się uczta. O-

brażeni jednak lękając się znowu jalać zemsty, cichaczem ponciekali do domów.

Mistrz z żoną zasiedli pierwsze miejsce za stołem na paradnych awanitem wybitych krzesłach; otoczyli ich goście, a wśród wesółych wiewatów, trwała biesiada do nocy. Nad zmierzchem zniknęli państwo młodzi, pijacy pozostali u kuflów, obzartochoy poszli się z niestrawności kurować.

Cale miasto uważało że ta noc była niesłychanie długą; a byli nawet tacy, którzy utrzymywali że czterdzieści godzin trwała. Inni jednak piszą, że nie dłużej nad dobrych trzydzieści. W tym względzie nie stanowczego wyrzec nie ośmielamy się; wiemy tylko że Twardowskiemu tak się zdała krótką, iż z tej okoliczności cytował ruskie przysłowie.

ROZDZIAŁ X.

Jak Twardowski żył z żoną, jak z rady diabła ją podsłuchał i co potem czynił.

Któż nie zna złotych pierwszych chwil małżeńskiego pożycia, kiedy jeszcze z czary miłości spijają się pierwsze słodyczne, kiedy pewien urok tajemniczy, pewne nieobznajomienie się połączonych, nowym są przysmakiem? Któż nie zna tych dni promiennych szczęściem, nadzieją, kiedy się zdaje że życie całe upłynie roskoszą, weselem, zgodą i miłością? Takie dni są nawet najnieszcześliwiej dobranego stadła udziałem, bo na brzegu czary, która często ukrywa w sobie tyle goryczy, jest zawsze kropla słodkiego szału, odurzenia i roskoszy. Naówczas małżon-

kowie wzajemne jeszcze dla siebie zachowują
 względy, szanują się, pieszczą, o tyle tylko
 spoufaleni, o ile poufalość miłości ich jest po-
 trzebna, nie wyzuwają się zupełnie z pewnych
 form grzeczności, które coś idealnego, nieludz-
 kiego, na pierwsze dni małżeńskich roskoszy
 rzucają. Mąż i żona przyglądają się sobie, usi-
 lują się wzajemnie zbadać (bajka to żeby się
 wprzód znać można) i w tém pół zaufaniu, pół
 niedowierzaniu, nie puszczając sobie cngłów
 zupełnie, o jakże są jeszcze szczęśliwi!! Nie
 dajeż to do myślenia, że człowiek chcący dłuż-
 szego szczęścia w małżeństwie, powinien go
 szukać w uprzedzającym obejściu się i oznakach
 uczucia, jeśli uczucia prawdziwego nie ma.

Takie jak wszystkich prawie, były pierwsze
 dni pożycia Twardowskiego z żoną, oboje byli
 sobą szczęśliwi. Ona na chwilę zapomniiała o
 swęj dumie, o wielkości, sławie i bogactwach,
 bo pierwiastki gorącej miłości do życia jęj wy-
 starczały; on szalenie zakochany u uóg jęj, ca-
 lując jęj ręce, patrząc jęj w oczy, czuł w tych
 chwilach, że mu nie nie zostawało do życzenia.
 Wówczas tylko kiedy myśl śmierci w oczy mu
 zajrzała, kiedy piekło któremu duszę zaprzedał,

przypominał, chmurzyła mu się twarz i zasępiało czoło. Jednakże, gdy jaka namiętność całą swą siłą człowiekiem ovladnie, łatwo naówczas obce jej myśli topią się i nikną w tym ogniu.— Twardowski też rzadko, coraz rzadziej myślał o piekle. Szatan w kącie na wszystko poglądał, wszystko widział i uśmiechał się po cichu. Wiedział on, że tak zawsze być nie może. Wiedział on co się działo w głębokich tajnikach duszy pani Twardowskiej, i co za przyszłość gotowała się dla nich obojga.

Uchodziły godziny, dnie, tygodnie, miesiące — cały rok tak upłynął, dopiero ku końcowi jego zmieniać się zaczęła pani Twardowska. Jej charakter stracił pierwiastkowych dni słodycz, duma i chęć rozkazywania wychodziły powoli na wierzch. Z początku jednak było to niewyraźne i delikatnie stopniowane. Mistrz ulegał śmiejąc się i żartując, zawsze jeszcze zakochany, a zatem powolny. Czasem tylko kiedy sam na sam z myślami swemi pozostał, chmurzyło mu się czoło, wracały dawne zadumania chwile. Pani tym czasem rządziła się w domu, traciła pieniądze na zbytki, sarknęła się na przepychy, coraz nowe sobie wymyślała zabawy. Wkrótce

dom dla niej stał się nudny, nowych zapragnęła wielbicieli, nowych gości. Starła się zwabić najzaśniejszych, aby się jej bogactwom dziwili, starała się o najrozumniejszych, aby ich mądrością swoją zaćmić, a powoli zapominając o miłości, której tylko jakby dla formy pięćwsze dni pożycia poświęciła, oddała się swęj namiętności panującej — namiętności blasku i wielkości.

Niepodobna jest opowiedzieć, jak do tego stopniami przyszło, jak się ten przykryty jej charakter rozwinął i wyjawił, jak zwolna kochanka i żona, zmieniła się w panią niecznośną. Twardowski potrzebował spokojności dla myślenia, ona mu rozkazywała bawić pasibrzuchów, którzy śpiewali jej pochwały; chciał w ciszy nad badaniami natury pracować, ona go z sobą ciągnęła w świat nudny, na którym sobie tylko szukała pochwał i oklasków. W domu biedny mędrzec nie miał także pokoju. Nie było swobodnej godziny i kąta. Po jego sięgach biegały jejmościne psy i papugi, które dla tego mieć chciała, że je miała Królowa i Wojewodzina. Mistrz musiał ciągle tylko jej służyć. —

— Pójdź tam — zrób to — i t. p. były wkrót-

ce jedyne mi jej do niego wyrazami. Z początku słodziły to niby serdeczne wyrazy — drogi — serce — duszo; — potem i od tego się uwolniła, a poczuwszy swą siłę, jak koń który zaczyna od klusa, a kończy na czwale, leciała wzięwszy na kiel.

Jest jednak chwila, w której i najpowolniejszy człowiek, obejrzy się, i najcierpliwszy niecierpliwi i najłagodniejszy oburzy. Ta chwila zbliżała się i dla Mistrza, którego tylko dotąd nie-nasycona dotąd miłość, trzymała w niewoli. Coraz mniej jednak czuły, coraz smutniejszy, w końcu pozwalał sobie niekiedy się z lekka sprzeciwiać, okazywać nieukontentowanie lub nie posłuchać małżonki. Potem przyszło do tych nieporozumień kilkogodzinnych, kończących się zawsze wieczorem, gdy piękna żona związywała włosy i kłaść się miała w łóżko. Z tych kłótni krótszych, przyszło do kilkodniowych i całoniedzielných; a choć świat jeszcze nie widział co się tam działo w tém stadle, choć powierzchownie była zgoda, wewnątrz kipiała wojna i gotowały się burze.

Bo wszystko przychodzi nieznacznie. Tak czas nieznacznie nas starzy, tak boleści nie-

znacznie nas podjadają, tak miłość nieznacznie nas wikła, tak niezgoda poczyną się z małego, a pożar od iskry. Tak też początkiem wojny domowej były tylko milczenia i dasy, potem krótkie swary kończące się uściskiem wieczornym, potem nareście nieznacznie przyszło do głównych kłótni. Gdy raz przenocowała pod poduszką niezgoda, już zamieszkała w domu. Pomiarkowali oboje że walką żyć będą, uzbroili się i nuż do boju!

Ale ciężka była walka z Mistrzem! Miał on za sobą naukę, rozum, język i słowa na rozkazy, czary na pomoc, tysiąc tajemniczych sposobów—ona tylko upor niewieści, i potrzaskaną broń swoją, resztki niedogastej dawniej miłości. Ale prędko w tej wojnie domowej ostatki jej spłonęły—wspomnienie tylko, jak czarny węgiel zostało—więcej szkodliwe niż pomocne. W końcu już tylko widywali się, żeby się kłócić, a djabeł, o! jakże się śmiał wówczas i poklaskiwał!

Raz wszedł on właśnie do komnaty Mistrza, gdy ten spocony, rozgniewany, po długiej jakiegś sprzeczce z żoną, zadumawszy się ponuro siedział.

—Dobry wieczór ci Mistrzu! rzekł. Dawnośmy się nie widzieli —ale, nowe sitko na kołku. Mógłbym myśleć, mimo twego ożenienia, że cię coś dręczy, tak jesteś smutny, i taką widzę w tobie boleść. Miałoby tak prędko przyjść już złe czasy?

—Jedno nie! jedno nie! odpowiedział Twardowski pocierając czoła —drobnostka, pewne domowe kłopoty, nicoddzielne od małżeńskiego życia, *malum necessarium*.

—Widzę ja wszystko co się dzieje, nie zmyślacie przedemną, rzekł djabeł śmiejąc się. Czytam w twojej duszy, jak w liście do mnie pisanym. Pozwolisz że Mistrzu przypomnieć, jakie naówczas obiecywałeś sobie szczęście, gdy ja stale odradzałem ci terażniejszych związków?

—Nie myliłem się obiecując sobie szczęście; to są małe przechodzące chmurki.

—Chmurki te Mistrzu codzien się stają czarniejsze, twoja żona straszniejsza co chwila —wiesz to sam dobrze, na cóż chcesz to ukrywać przedemną.

—Któż ci powiedział, że temu przyczyną moja żona?

—Jeszcze pytania? a! na siódmą otchłań siarczystą, alboż zapomniałeś, że wiem zawsze o wszystkiem i nie opuszczam cię nigdy?

—Ha! kiedy wiesz wszystko, rzekł Mistrz, no, to dajże mi radę?

—Radę? teraz! zapewne! kiedyś się zabrał z nią na wiekuiste gołąbkowanie! Ale czemuż nie słuchałeś, gdy ci radził wprzód wywieść ją, wyssać co miała słodyczy i rzucić jak brzydką łupinę owocu, który na chwilę chłodzi?

—Dla czego? Tak chciałem! i dosyć; miałem w tém moje myśli—mój sposób widzenia rzeczy.

—Zrobiłeś jak chciałeś, a skończyło się, jakem ja przepowiedział, rzekł djabeł z wiecznym śmiechem. Teraz czas, żeby się to twoje głupstwo przecie skończyło.

—Jakże się ono ma skończyć?

—Dość będzie gdy ją po prostu wypędzisz.

—Żebym ja! ja! wypędził żonę z domu! Oszalałeś—cóżby na to ludzie rzekli?

—Ludzie! W czas opatrzyłeś się, że ludzkie gadanie potrzebne ci jest do szczęścia.

—Ależ djable, to by było szkaradnie, wypędzić żonę.

— Jaką żonę?

— Przecież jest moją żoną.

— A tak! bo ja wam ślub dawałem!

Mistrz trochę był o tém zapomniiał i uwiłkany w życie pospolitych ludzi, przywykł się był uważać jak najprawdziwszym mężem.

Nastąpiła chwila milczenia, po której ozwał się Twardowski.

— W istocie jednak, nie jest ona tak złą jak się zdawać może tobie.

— Jest gorszą niż ty myślisz, odpowiedział szatan—widać tyłko że ją jeszcze kochasz. Ha! żyj z nią jeśli chcesz jeszcze, kiedy ei się tak to życie podobało, lecz chceszli się ojcj enocie przekonać?

— Ona mnie zdradza? zdradza! ona by mnie śmiała zdradzić! innego by kochała! wrzasnął zapalezywie porywając się z miejscy i lecąc do szatana Twardowski.—To bydz nie może! to niepodobna!

A djabeł zimno, nie ruszając się z miejscy, odpowiedział.

— Tak jednakże jest. Ona cię zdradza!

— Ty mi to musisz dowieść! to byż nie może!

— Tak jest!

— I dla kogoż? mów! mów że!

— Zwyczajnie; dla świeżego młokosa, odpowiedział djabeł powolnie—trwa to już dobrze od dwu miesięcy. Dla owego P. Krzysztofora, owego wymuskanego komornika królewskiego, w którego głowie tyle jest rozumu, ile w czaszce zdechłego konia.

— To byż nie może! to niepodobna! wołał Mistrz — pójdę, pójdę! przekonam się i zabiję ją!

— Idź że, idź! ale pozwól sobie na pożegnanie powiedzieć, że nie widziałem głupszego nad ciebie mędrca. Zamiast czekać przekonania, zamiast powolnie się i rozważnie zemścić, dozwoić sobie rokoszy, prawdziwej rokoszy zemsty, ty chcesz żeby ona ciebie zgromiła, płaczem pokonała, ogłupiała i nadal rozumniejsza, związała ci na nowo głowę i ręce do wiecznej niewoli!!

— Cóż mam poradzić? co mam robić? rzekł Mistrz, mów, dyktuj—mnie pali.

— Czekał, wysłuchaj mnie cierpliwie. Udaj

(to ci łatwo przyjdzie) że cię dziś wezwano do chorego, wyjedź niby w kilkunastu-milową podróż. Ona niechybnie, jak tylko ty ztąd wyruszysz wezwie do siebie kochanka. W nocy drugiemu drzwiami od ogrodu, wkradniesz się do swojej komnaty, będziesz mógł podsłuchiwać ich rozmowy, i przekonaną na ówczas wypędzisz z domu haniebnie.

—Dobrze tak! dobrze! lecz nie chcę jęj wprzód widzieć, rzekł Twardowski, bo bym w sobie tajemnicy nie potrafił utrzymać, to mówiąc klasnął na służę i posłał go z oznajmieniem do pani, że pilno wyjeżdżać musi w drogę na dni kilka.

Chwilka ledwie minęła, gdy szatan ukazał mu przez okno, tylnemi drzwiami wychodzącą z kamienicy, służącą i powiernicę pani.

—Oto już idzie po gaszka—rzekł, złapiem ich w pólapkę niezawodnie.

Nadeszła przygotowana kolasa, Twardowski ruszył z domu, a szatan niewidzialny pozostał na czatach.

—O! jakże niecierpliwie, odprawivszy konie za miasto, sam w gospodzie pod Florjańską bramą ukryty, oczekiwał oznajmienia! o jak

ma z gniewu, z oburzenia, z niecierpliwości serce biło i krew po wszystkich żyłach wrzała! Nareście nadleciał szatan, z uśmiechem prawdziwie piekielnej radości na ustach i rzekł tylko.

— Chodźmy!

Noc była pogodna i jasna, sunąc się po podścianami kamienic, dostali się po cichu do ogródka na tyle Mistrzowskiego dworu. Tu otworzyli fórtkę, cicho przeszli ulicę i wkradli się niepostrzeżeni do izby, dotykającęj wprost sypialni. Stanęli?

— Gdzież są? spytał drżąc mąż.

— Tu obok! odpowiedział djabeł, słuchaj tylko cierpliwie; przez drzwiczki dójdzie cię ich rozmowa. Dla nich męża niéma podobno ciekawszêj w świecie, nad jego żony z kochaniem!

Twardowski unosząc ogromną szablę, drżącą w jego ręce spotniałêj, przysunął się do drzwi blady, zdyszany, nieprzytomny, i słuchał.

W sypialni była taka rozmowa.

.....

— Nieprawda, nieprawda, panie Krzysztoforze! nigdy m mego męża nie kochała!

Był to głos pani Twardowskiej, pierwsze *te słowa* mąż usłyszał.

— Ależ moja Agnieszko (był to głos gacha) dla niego przecie odbudowałaś tak bogatemu Dominaszkowi, zrzekłaś się po Porajach dziedzictwa! Ja to wiem wszystko! Dalaś się nareście wykraść, i to wielka ofiara.

— Żem odmówiła temu głupcowi Dominaszkowi.

— To nie dziw zapewne, przerwał głos gacha, ale zapisy Porajów! wioski, kamienice, kapitały! sto razy rozumniejsze od Dominaszka! tak rozumne!

— Twardowski był i jest bogatszy, niż Dominaszek i wszyscy Poraje— wyrachowałam się dobrze.

— Przecież wyznaj Agnieszko, nalegał znowu głos gacha, w pierwszych chwilach, ja patrzyłam na was, tyś go widocznie kochała.

— Musiałam dobrze udawać, odpowiedział głos Agnieszki, kiedym was wszystkich nie tylko jego jednego zwiodła! Trzeba lepu na płatki i miłości na podciąganie mężów pod swoje panowanie.—Raz w sidłach, nie tak się łatwo rozwikłają.

—Zaiste! zręczna z ciebie niewiasta, na Boga, rzekł P. Krzysztofor ze śmiechem — a twój Twardowski, którego tak wielkim mędrceem i czarnoxieżnikiem głoszą, bardzo głupi, że się na sztukach nie poznał. — Ale któż by się niewieściej udawanéj miłości, nie dał podejść, gdy ona dumę lechce, a takie jeszcze oczy o niej mówią.

Tu usłyszał mistrz pocałunek, i chciał już drzwi otworzyć, ale go szatan wstrzymał jeszcze.

— Posłuchaj no jeszcze trochę, rzekł, może się znowu czego ciekawego dowiesz.

W sypialni ciągnęła się dalej przerywana tylko pocałunkami rozmowa.

— Powiedz że mi, był głos pana Krzysztofora, czy prócz bogactw Twardowskiego, nic więcej nie skłoniło cię pójść za niego? Starali się o ciebie przecie ludzie bardzo bogaci.

— Słuchaj, trzeba żebym ci się przecie wytłumaczyła, odpowiedziała kobieta. Z tobą muszę być szczerą. Wolałam go od innych za męża, bo był razem bogaty, sławny, znaczący. Całe życie śniło mi się bogactwo, sława i wielkość; wszystko byłabym za nie oddała. A że był razem mój mąż bogatym, sławnym i

znaczącym, nie wahałam się i chwili, czułam że mi tylko tego do mojego szczęścia potrzeba.

Po chwili.

—Nie wiedziałam że i miłość do życia potrzebna, bom ją przy tobie dopiero poznała.

Tu nowe były pocałunki i uściski.

—Nie rozumiem jednak za co, rzekł mężczyzna, głoszą Twardowskiego wszytkowiedzącym czarnoksiężnikiem; gdy on daje ci się zwozдить tak spokojnie i niczego się ani domyśla; nie domyśla że ty nie jego, ale bogactw jego i sławy żądałaś, gdyś mu rękę oddawała.

Przypomina mi to przypowieść wielkiego naszego poety, który

ziemię przemierzył i głębokie morze,

ale ci jej nie powiem całej!

Uśmiechnął się P. Krzysztofor.

Po chwili znown głos Agnieszki.

—Tak to zawsze wychodzą wielcy mędracy, którzy zapatrzywszy się w niebo, nie mają czasu ziemi widzieć — Zresztą, cóż dziwnego, że w nim znalazłam jedno, czego mi było potrzeba, w drugim resztę. Jego jestem żoną, twoją kochanką, jego mam sławę i bogactwa, twoją miłość, nim żyję dla świata, tobą dla

siebie. Oba te życia składają jedno dopięro całe.

—A ja zawsze powtarzam swoje, bo się temu wydziwić nie mogę, rzekł gaszek—cóż to za głupi mędrzec!

Tu już dłużej Twardowski powstrzymać się nie mógł, otworzył drzwi z trzaskiem, wpadł do sypialni z szablą podniesioną i dwa ogromne krzyki spłoszoućj pary dały się słyszeć.

P. Krzysztofor chwycił za leżącą blisko szablę swoją, ale w ręku swym zdziwiony ujrzał tylko, wiszącą od rękojęści kawał płótna. Twardowski w gniewuém milczeniu oczyma ich mierzył.

Pani Twardowska, kryła się w łóżko, nurzając głowę pod wezglowia.

—Ha! nieprawdaż, krzyknął do gacha!—głupi Twardowski—tyś tylko mądry i ona mądra! on głupi; głupi, bo na was czekał; głupi, bo was złapał; głupi, bo was przykładnie ukarze—głupi Agnieszko twój mąż! głupim ja panie niewieściuchu, podwikarzu! Tyś mądry żeś dał się złapać w pólapkę! o! tyś dopięro mądry! No! pokaż że teraz wysoką mądrość swoją i wywin się z tego—i ty także śliczna pani,

tak biegła w oszukiwaniu.—Od ciebie naprzód zacznę.

—Nie jesteś i nie byłaś moją żoną, bo nie xiaźdz, ale niewiedzieć kto ślub nam fałszywy dawał. Precz z mego domu nierządnicó—precz! Idź żebraj nędzna po ulicach, lub siądź gdzie pod straganem garnki przedawać, ty coś całe życie o wielkości i bogactwach marzyła. — Idź i spróbuj nędzy! precz z mego domu nierządnicó paskudna!

Klasnął na sługi, którzy przybiegli.

—Wyrzucie ją, zawołał, za próg domu, a jeśli się tu więcćj pokaże, osmagajcie ją różgami. Nie chcę ci życia odejmować, lepić cię ukarzę pogardą i nędzą!

Precz nierządnicó! wyrzucie ją ztąd!

A służby porwali ją i wyciągnęli płaczącą za wrota domu. Dawno oni ją nienawidzili, to też ściśle i bez litości dopełnili rozkazu.

—Ty zaś mój miły gaszku, coś się tak żwawo do szabli porywał; zważając żeś nie tyle winien, masz tylko dwadzieścia lat pokuty, które przeżyjesz w psiej skórze błądząc po ulicach. Tak, w psiej skórze, w skórze parszywego kundla, którego gnać będą kamieniami i od-

pędzać ukropem od wrót; idź za swoją kochanką miły gaszku!!

Ledwie to wyrzekł, P. Krzysztofor, zmieniawszy się w obrzydliwego psa, zaszczał, zawył i uciekł popędzany razami nелitościwych sług. To był początek zemsty Twardowskiego.

ROZDZIAŁ XI.

Jako się mścił jeszcze Twardowski.

Po téj próbie małżeństwa, Twardowski zmienił się bardzo. Zrazu szukał on kobiet, potrzebując ich jeszcze i mniemając że znaleźć potrafi taką, która go szczerze pokocha. Ale próżne to były nadzieje. Gdy głupcy łatwo bardzo dostać mogli kochanek, które za nimi szalały, i mężów nawet dla nich zwodziły; on nie potrafił znaleźć żadnej, coby go inaczej, jak dla jego złota lub sławy kochała. Czemuż to? Bo podobno kobiety lubią głupszych od siebie kochanków, nie czując się z nimi upokorzone. One tak bardzo lubią wyższość swoją utrzymać,

i rozkazywać wszystkiemu co ich otacza. — Mniał się więc sam oszukując, ograniczać Twardowski tą głupią miłością, zapłaconą, ndawaną, która nie nasycą; a jednak chwytą się jej niejedn, gdy łaknąc namiętności, szlachetniejszego przedmiotu nie znajdzie; tak jak myśliwiec pije wodę z brudnej kałuży, gdy go pali pragnienie, a czystego nie widzi źródła. Tak i Mistrz, porzucawszy żonę, znał tylko potem towarzystwo owych zepsutych kobiet, które złotem kupował. Diabeł śmiejąc się podstawiał mu przed oczy coraz wdzięczniejsze postacie, a kiedy Twardowski smutny nieraz, myślą wszystkie zawody swego życia przypominał, on mu szeptał.

— Wierz mi Mistrzu, inną miłości niema chyba dla głupców, co w inną wierzą! Może być przywiązanie nałogowe, namiętność zwierzęca, dziecinny szal platoniczny, ale tego co ty zowiesz miłością *per excellenciam*, tego niema na świecie, jak Fenixa i Syreny, chociaż Fenixa także i Syreny opisują bardzo uczeni i poważni ludzie. Są to wszystko poetyczne bajki.

Mistrz więc musiał się rad nie rad kontentować, tem co mógł posiadać, to jest najgorszą częścią miłości, miłością bydlęcą. Szatan

zaś mniścinnie wmawiał mu że innéj nie było, bo się lękał aby prawdziwa miłość, nie uczyniła Mistrza enotliwym, tak jak czyni wszystkich istotnie zakochanych.

Długie tak znowu upłynęły lata

.....
Kilka już przeszło od czasu rozvodu Mistrza z żoną, gdy on raz wracał do miasta od chorego, otoczony służbą i dworem swoim, jak zawsze skrzywiony i zmęczony, nie wyspany, udręczony myślami ciężkimi, które zwykle opanowują głowy ludzi zużytych i zmęczonych życiem.

Wjeżdżał właśnie z pocztą swą na rynek, gdy obróciwszy się bez myśli, ujrzał coś, zastanowił się i gorzko uśmiechnął.

Ujrzał był właśnie Agnieszkę, niegdyś swoją żonę, która w lichéj budce, przylepionéj do ściany jakiegoś domu, siedziała smutna, blada, nad stosami garnków.

Okrywała ją podarta i brudna suknia, oczy miała wpadłe, włos poprzylegał do skroni, usta zsiniały, a z wdzięków dawnych, został tylko straszny wyraz oczów, który jak dawniej kochanków, teraz kupców odstręczał. U nóg jéj

leżał szkaradny pies bury, niegdyś jęj kochanek, którego ona teraz przez litość karmiła....

Na ten widok serec Mistrza zawrzało nowym gniewem, nową żądzą zemsty, odwrócił się do sług i rzekł.

—Widzicie tę niewiastę nad garnkami siedzącą! Jest to niecna złodziejka; idźcie i wytłuczcie jęj garnki i psa jęj obijcie.

Na rozkaz Mistrza pobiegli słudzy z kijami, a wkrótce ulica rozległa się wrzawą przekupki i wyciem łarego kundla.

Gdy się to działo, Mistrz powolnie przejeżdżał mimo kolasą złoconą, nasycając się płaczem Agnieszki, która poznawszy go, zasłoniła twarz rękoma i padła na ziemię.

Szatan unosił się w powietrzu nad głową Mistrza i poklaskiwał z całych sił.

Odkrywszy ostatecznie schronienie biednej Agnieszki w lepiance lichęj, ile razy przejeżdżał Mistrz tamtędy, tyle razy ludziom swoim, garnki jęj wytłukać i psa bić kazał; aż póki przywieziona do rozpacz, gdzie indziej się nie przeniosła.

W serec Twardowskiego niczém nie nasyciona gorzała zemsta. Nie tyle mu chodzilo

o zdradę samą, jak o to że się dał oszukać. Dla niego było to bolesnijszemu nad wszystko. On także był dumny. Nie żałował już potem jęć miłości, ale bolał krwawo że się poniżył i zhańbił w oczach ludzi. Mógłże jęć kiedy obrażę swęć miłości własnej darować? Jest to jedno, czego dumni przebaczyć nie umieją, nigdy i nikomu.

ROZDZIAŁ XII.

Jako Twardowski przeszłość swą żałował, i z diabłem się kłocił.



ALE wszystko się kończy żalem, mało jest rokoszy téj ziemi placzu, którymby prędzej później nie towarzyszyły zgryzoty, za którymi by nie szedł w ślad smutek. Albo się żaluje upłynionych chwil jako postradanego dobra, albo się płacze stéranego w boleściach żywota, albo to, co było szczęściem, w nudę się zmieni przysyceniem. Zawsze żal w końcu.

Tak było i z Twardowskim, który niczém nie zaspokojoy, ani nauką, ani światem którego używał; tęsknił i żałował że wieczność całą przed sobą zamknął. Począł przeglądać się że

zły handel zrobił z szatanem, że nie może opłacić duszy i nieśmiertelności. Bo wszystko co otrzymał w zapłacie, było tylko przemijające, z nim ginęło; nie mogło nawet pocieszać przeszłości wspomnienie gdy się żadną nie podpięrało przyszłością; a nadchodząca wydawała się czarną i groźną. Póki dalsza była od niego ta przyszłość, nie tak mu dopiekała, nie tak była straszną, lecz co godzina, co dzień zbliżała się; Twardowski drugi już raz widząc siwiejącą głowę, stękał i ubolewał nad krótkością życia ludzkiego. A jednak żył tak długo! Z dzisiejszego stanowiska, wszystko wydawało mu się tak próżnym; nauka tak czerzą i małą w obec świata i światów, rokosze tak drobnymi punktami w obec wieczności?

— I toż to życie! mówił — Gdzież nasycenie mądrością, któregom się spodziewałem! Marzenia o szczęściu w nauce, do czegoż mnie stanowczego przywiodły? Do żalu za straconą przeszłością — Do czego mnie przywiodła żądza użycia świata? Do przesytu i zniechęcenia wszystkiemu!

W głębi serca, choć się tego sam przed sobą wstydział, żał mu było najbardziej — Czego?? zgadnijcie.

Oto chwil tych piérwszój młodości, chwil prostój wiary, cnoty i pobożności, owych chwil złotych, w których nie myślał nawet, aby mu życie kiedy tak szumném a tak gorzkiém być miało.

Naówczas zdawało mu się że na zagonie ojców, w zagrodzie cichój, spłynię to życie w pobożném rozmyślaniu, przechadzkach, cnotliwój miłości, pożyciu z żoną i dziećmi.

Później prawda śnił się nicraz Twardowski z tego olrazu spokojnego szczęścia i zwał je *szczęściem głupców*; lecz skosztowawszy wszystkiego, gdy po wszystkiém, gorzki tylko smak został mu w ustach, wzdychał przecie za tém życiem; bo to jedno widział równie czystém u źródła jak u ujścia, to jedno nie miało mętów na dnie.

— Na cóżem tak bardzo oddalił się od przeznaczonego mi żywota? mówił do siebie — Cożem zyskał na zamianie? zgryzoty. Na grzędzie ojcowskiój byłoby mi tak spokojnie, tak swobodnie, tak cicho! Byłbym się nauczył cenić to, co dziś żadnego na mnie przez przesyt wrażenia nie czyni, ciszę, piękny widok świata; byłbym kochał wieś, wiosnę, naturę,

bylbym szczęśliwy w ciszy, na poziomie, ale jednostajnie i bez zgryzot ciężkich sumienia. Żona moja byłaby zapewne jak moja matka—aniołem!!

Mimowolnie, Twardowski teraz, coraz częściej wspominał matkę; ile razy to czynił, było mu na sercu, jakby je kto pokropił balsamem.—

Ale gdy spójrzył potem z téj przeszłości, którą od siebie odrzucił, pod nogi — widział piekło otwarte. Drżał myśląc że tam nie pójdzie z nim nawet wspomnienie matki, ani chwil dzieciunych, ho z potępionym do piekieł idzie tylko zgryzota i pamięć zbrodni.

I znowu, i znowu, mierzyl myślą życie ubiegłe, i znowu wracał do tych chwil młodości, chwil religijnego zapалу, chwil głębokiej wiary, gdy uczniem jeszcze będąc, składał pobożne pieśni do Matki Bożej i Świętych Pańskich, które dotąd lud pobożny śpiewał po kościołach jeszcze.— Kiedy wspomniał na uczucie z jakim to czynił i czyste szczęście jakiego w zapale religijnym doznawał; podwójnie, dziesięćkroć, żałował że te chwile nie miały żadnego związku z dalszém jego życiem, a nie ich się zerwała—

Często i coraz częściej w podobném dumaniu upływały mu całe noce, jeśli szatan nie opa-

trzywszy się wcześniej, nie poddał mu na miejscu tych myśli, innego jakiego zatrudnienia, lub chwilowo odurzającą nie opętał go rokoszą.

Przy schyłku coraz smutnijsze stawało się życie Mistrza; czuł zbliżającą się chwilę, w której go szatan miał porwać do piekła. Nieraz mu na myśl przychodziło ratować się czém od téj ostateczności, ale ile razy wspominał na swoje grzechy, tracił zupełnie odwagę. Kamieniem przywalone miał sumienie.

Raz, tak noc całą przedumał Twardowski, porównywając swoje życie jakiego pożądał, z tém które mu los wyznaczył, przekonywając się co chwila, że wola i rozum człowieka nie są mu dostateczne do pozyskania szczęścia, że wybór jaki namiętność czyni, prawie zawsze jest fałszywy, i żal wiedzie za sobą.

Już piał koguty i ranek nadechodził gdy jeszcze Mistrz sparty na dłoniach gorące swoje i poorane troskami czoło na poranny ehlód wiosenny wystawiał i pełną piersią wciągał powietrze, aby się niém orzeźwić—Napróżno!

W głowie były płomienie, żar w piersiach, które z trudnością poruszały się, jak stare zarzewiałe zawiasy zużytych wrót.

Pusto było do koła, tylko Maciek pajak snuł sieć swoją w oknie. Mistrz spójrzył na niego i rzekł w duszy —

— I on szczęśliwszy ode mnie!

— Gdzież moja sława i co mi z niej?—gdzie życie moje i co mi z niego? gdzie moja mądrość, której poświęciłem tyle? Oto w tym czerepie obłazłym, który zowią głową i koroną człowieka, mózg mieszkanie duszy, mądrości, pamięci, uczuć — Mózg ten jak stara chata, wiatrami i burzą połamana, osuwa się i chyli. Ciasno już w nim duszy i mądrości i nauce, a ta którą zakupił kosztem wieczności mądrość, wkrótce mi uciecze, bo mieszkanie jój będzie nie wygodne i ciasne!

Gdybyż choć wspomnienie szczęścia? Ale byłóż to szczęściem, co się niém zwało u mnie? Dziś prócz kilku chwil młodości, wszystkie wspomnienia moje, czarne jak węgiel.

Wtém, gdy tak duma, gdy powietrze chwyta, ranek się wyjaśnił, dzień powstał, mieszczenie po otwierali okna, i pobożne pieśni śpiewać zaczęli.

Wśród ciszy porannój usłyszał Mistrz jedną z tych pieśni, pieśń którą był ułożył, będąc jeszcze młodym, na cześć Boga-Rodzicy.—

Usłyszawszy ją, tak gorąco przypomniał sobie tę ubiegłą młodość wiary i nadziei w niebo, tak gorzko jój pożałował, że załamawszy ręce i spuściwszy oczy, słuchając pobożnej pieśni, która przez otwarte okno, z poranném powietrzeni weiskala się — zapłakał!

O! były to łzy gorzkie, nigdy nie widziane na jego wyschłej twarzy, pierwsze łzy od kilkudziesiąt lat — ale łzy rozpaczy!

A pieśń pobożna rozlegała się daleko, płynęła w powietrzu, czysty, spokojny głos jakiegos rannego pracowitego człowieka nócił ją swobodnie, zaczynając dzień modlitwą.

Jemu musiało być tak lekko — Mistrzowi tak ciężko na sercu, tak gorzko, tak okropnie! Łzy wielkie płynęły mu z oczów na suknię, a w niemój rozpaczy, z załamanemi rękoma, stał tak długo — długo, stał i płakał i milczał i myślał o swojej młodości —

Potém nagle, gdy całą tę przeszłość ujrzał przed sobą, ów domek ojca spokojny, owe szczęście wiejskie, życie pobożne i cnotliwe, do których wrócić już nie było można — porwał za okno drżącemi rękami, zatrzaskał je i odskooczył. Obrócił się.

Za nim stał szatan.

— Niema co mówić, rzekł szatan szydersko patrząc na zaczerwienione oczy Mistrza, to była wcale piękna piosenka!

Twardowski obwinał się w milczeniu oponczą, usiadł w krzesło i nie odpowiedział. Po chwili diabeł rzekł znowu.

— Ale żart na stronę. Ty się Mistrzu bardzo starzejesz i zaczynasz, jak zazwyczaj starzy, żałować lat młodych. Widać że ci już życie obmierzło. Ot wiesz co, weź już łaskę pielgrzymią i idź do Rzymu.

— Ha! tego ci się chce? rzekł Mistrz z gniewem, poczekasz jeszcze.

— A wszakże muszę czekać, kiedy tak stoi napisano, że cię w Rzymie dopiero porwać mamy, rzekł diabeł. Ale i waszmości samemu, czy nie zdało by się, że już czas to nędzne życie ukończyć? W istocie w piekle nie jest to już tak bardzo a bardzo źle jak powiadają. No, już ci nie ze wszystkiém dobrze, to prawda, na co klamać, ale jednakże przesadzają znowu i bardzo przesadzają w opisach.

Mistrz milczał upornie, a świeżo jeszcze wyłane łzy i świeże jeszcze myśli o młodości, zło-

ścią go przeciw szatanowi niecnemu hurzyły, któremu przypisywał wszystkie życia swego nie-szczęścia.

— Widzę, że waszmość nie w humorze, rzekł szatan. Wielka szkoda! trudno będzie z waszmością dysputować. Ale prawdziwie tak piękna wiosna, tak to piękny i ciekawy ten włoski kraj i stolica dawna świata Rzym, że w własnym waszmości interesie, muszę mu, nawet dla jego zdrowia, radzić tę podróż. Waszmość nie uwierzysz ile to jest rokoszy w podróżach. Ja co się ciągle tłukę po świecie, mogę mu zaręczyć, że nie jęj nie zrówna. A Włochy miłościwy panie! Włochy! kraj cudów! a Włoszki! kobiety z ławy Wezuwjuszu! A Rzym mianowicie, Rzym! Rzym! co to za miasto! Wierz mi Mistrzu, tak jesteś smutny, tak przybity, że dla ciebie jedynem widzę lekarstwem podróż do Rzymu.

W ciągu tej szyderskiej perory, Twardowski siedział zmarszczony i milezący; porwał się wreszcie i krzyknął sięgając w rękę chwytając.

— Na piekło diabła, nie nudź mnie więcej i idź precz! Przysięgam że noga moja nie po-
stanie we Włoszech i w Rzymie!

— A! to coś osobliwszego! rzekł szatan; coś z naszą umową się stanie, w której artykuł XIV, paragraf trzeci stanowi, że cię mamy porwać w Rzymie?

— Radź sobie jak chcesz — odpowiedział Mistrz.

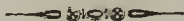
— To ostatnie słowo waszmości? spytał diabeł.

— Ostatnie moje słowo — idź precz!

Diabeł grzecznie się skłonił i młodego wyszedł z izby.

ROZDZIAŁ XIII.

**Jako diabeł zbudował szlachetcowi
karczmę.**



Po miłym grzecznemu ukłonu, diabeł bardzo zmartwiony wyszedł z izby i skrobał się w głowę mocno, tupał nogami, chrapał, nie wiedząc co porządzić z sobą. Nie w smak mu bardzo były te żale młodości coraz częściej opanowujące Twardowskiego. Bał się jakiego nawrócenia i rad był przyspieszyć porwanie go, ale nie mógł wymyślić sposobu, jakim by go do Rzymu wyprawił. Co gorzej, świeżo się tak Mistrz zaklął, iż do Włoch nie pojedzie! Trzeba było fortele go jakimś zażyć.

— *Ergo!* rozumował sobie djabeł (djabli nadewszystko potężnie argumentują) nie będzie w Rzymie, jeśli nie będzie we Włoszech i *ergo*, my go porwać nie będziemy mogli. Co tu począć? W Cyrografie nie stoi — *Roma Italiae! Vivat!* Można poszukać drugiego jakiego Rzymu, albo jaką *Roma Polonorum* skomponować. Proszę co to jest brak ostrożności! Gdyby tylko był dodał — *Italiae!* nie mógłbym mu dać rady!

Tak pomyślawszy i plan swój osnuwszy, rozpuścił szatan skrzydła i poleciał.

Leciał on dość długo, aż go uderzyła nowa karczma na drodze pod Sandomierzem stojąca, jeszcze nie ze wszystkiém skończona. Nie miała jeszcze murów, okien, dachu poszytego, goły tylko stał zrąb, a nad nim krokiewki chude.

Koło niej latał na koniu szlachcie, lamentując i krzycząc. —

Djabeł zawsze ciekawy, spuścił się wnet ku niemu pod postacią chłopka, wyszedł z za węgła z czapką w rękę, i słuchał skrobiąc się w głowę.

Szlachcie wołał głośno.

— O! przekłęci majstrowie! przekłeta ha-

łastro! Daj Boże spotkać się z wami gdzie na drodze, albo gdy tylko przez moją wieś przechodzić będziecie! Pokażę ja wam, co to znaczy ze mnie sobie żartować! Dam się ja wam we znaki i porobię pamiątki po plecach!

Dla tego żem ja raz w terminu nie zapłacił ich głupiego jurgieltn, porzucili mi ciesielkę i mularkę i porozchodzili się do stu czartów! Jest-że to sprawiedliwość! A tu mój mieszczanin Sandomierski, któremu karcznię najął, żąda zwrotu swoich pieniędzy i zalogu, jeśli mu karczma w termin nie stanie! Do stu kaduków! Termin tak blizki! Majstrów ani dostać! Te łotry jeszcze rozgłosili że ja nie płacę!

— Za pozwoleniem Jegomości Dobrodzieja, rzekł djabeł wysuwając się z miną pokorną. Słyszę narzekanie, że karczma w terminie skończona być nie może. A nie mógłbyś ja wiedzieć, kiedy to ten termin?

Szlachcic obejrzał się pogardliwie na chłopca i odpowiedział.

— A tobie chanie co do tego? Może te łotry wysłali cię tu na szpiegi! Dam ja ci zuchwale! Jeszcze śmiesz mi się nagać.

— Niech no się Wasza Miłość nie gniewa,

Tau II.

odpowiedział szatan. Ja jestem wędrujący rzemieślnik, potrzebuję roboty, mam swoją czeladź, mógłbym się o tę robotę ngodzić.

— Ty obdartusie!

— A kiedy termin wasz?

— Kiedy! kiedy! za dwa dni! odparł szlachcie ze złością.

— No — to karczma stanie gotowo, rzekł djabeł śmiało.

— To być nie może!

— Będzie — rzekł djabeł znowu.

— Jakto chamie! tu jest na miesiąc roboty!

— Na godzinę ledwie ściśle biorąc! odpowiedział oglądając się szatan.

— Chyba ci djabli dopomagać będą.—

— Choćby i tak, to Waszój Miłości nie nie szkodzi.

Szlachcie spójrzył w oczy mniemańemu chłopu, a ten się uśmiechnął.

— No! a co mi pan za to da? rzekł szatan.

— Co ci dam! he! — Ależ to być nie może żebyś ty tego dokazał. Wieleż ty masz czeladzi?

— Jedną głowę i dwie ręce, odpowiedział szatan.

Szlachcic coraz bardziej odpowiedziami chłopca zdziwiony, ramionami poruszył, odwrócił się i zawołał.

— To być nie może, żebyś ty to zrobił! Drwisz ze mnie chamie. Gadaj wiele masz czeladzi?

— Co Waszój Miłości do mojej czeladzi, byle jutro karczma była gotowa — rzekł chłop — Jak nie będzie a zawiodę, dasz mi sto nahajów! zgoda?

— Zgoda! rzekł szlachcic mimowolnie śmiejąc się i po trochu zaczynając się lękać. — Ale ty masz coś minę, jakbyś sobie drwił ze mnie? Może ten łotr mieszcuk cię namówił, na którego mam podejrzenie, że i tamtych majstrów pobuntował, knując tylko żeby gdy karczma w czas nie będzie, zalog wziąć ode mnie! Ej! tylko ostrożnie wszakże ze mną! ostrożnie!

— Ale o cóż Waszmości chodzi, odpowiedział djabeł, przyslij tu swoich przystawów, każ mnie pilnować, a jeśli karczmy nie skończę, dasz mi sto nahajów. I to nie do dwóch dni karczmę ci postawię, ale do jutra rana, niechybnie.

— Toś ty chyba djabeł! zawołał szlachcic.

—Może i djabeł, odpowiedział mniemany chłop, a co Waszój Miłości w to wchodzić? Szlacheic się przeżegnał nieznacznie, a szatan zakrzuszył.

—No! no! więc zgoda, rzekł szatan—Już ja karczmę dokończę—Zapłaty nawet za to nie chce żadnej, tylko jednej rzeczy się od W. M. domagać będę.

—No — radbym wiedział, czego za to zechcesz? wybąkał szlacheic oglądając się bojaźliwie.

—Śmiesznej rzeczy, odpowiedział szatan, małej rzeczy! będziesz się W. M. śmiał, gdy mu to powiem, ale mnie chodzi o osobliwszy zakład.

—Cóż to takiego! tobie o zakład chodzi!!

—Dozwolisz mi karczmę nazwać jak zechcę.

—Ho! a na cóż to tobie! Ja jej imię już dałem, zowie się *Nowinka*.

—Mnie chodzi jak rzekłem o zakład, nazwę ją po swojemu, a za to skończenie nie Waszój Miłości kosztować nie będzie.

—Jakże ją nazwiesz?

—Jak mi się podoba.

—Przecież trzeba, żebym o tém wiedział,

abyś mi w tém jakiego urągowiska nie uczynił, albo na ludzki ze mnie śmiech, jój nie przezwiał.

— Oto się WMość nie bój, nazwę ją bardzo pięknie! tak jak się zowie najślawniejsze w świecie miasto. —

— Jakież przecie? powiedz mi.

— Nazwę ją — *Rzym*.

— Rzym! Osobliwa! z kądże ta myśl tobie? co to za zakład?

— To moja tajemnica! ale czy zgoda na umowę?

— No — zgoda! Jednakże pamiętaj aby jutro była gotowa, bo ja z siebie nie dam żartować!

— Jutro rano przybywaj tu WMość do mnie.

— Przybędę!

— Możesz śmiało oznajmić mieszczaninowi, który wynajął karczmę, żeby przybywał! Nie będzie w niej i jednego ćwiczka brakować.

Szlacheć odjechał.

Nazajutrz rano karczma stała gotowa, pokryta; mury były skóńczone, okna i drzwi po-

wprawiane, ubite toki w izbach; nawet ogromny ogień palił się na kominie, a przy nim siedział nasz djabeł i grzał się.

Nad drzwiami na tablicy, wielkimi literami napisane było: *Karczma Rzym*.

ROZDZIAŁ XIV.

Jako Twardowski smutne pędził życie.



RESZTY życia Mistrza, były coraz pełniejsze goryczy, coraz smutniejsze. Nie zajmował go i nie wabił świat, którego odmłodzony tak pragnął; nauki, które wyczerpnął do dna. Ponury, z głową zwieszoną, pooraną twarzą, zasępioném czołem, skurczony we dwoje, w czarnej sukni, milczący, był tylko dziwowiskiem dla tłumu, a udręczeniem dla siebie. Z całej przeszłości została mu tylko dwuznaczna sława jego życia, i cudownych leków i czarnocięzkich wiadomości.

Czy to że leczenie zajmowało mu trudny już do przeżycia czas, odrywając go od przykrych dumań, czy dla innych przyczyn, Twardowski nie porzucił do ostatka swoich zatrudnień lekarskich. Mniej już jednakże szafował cudami, więcej leczył zwykłemi sposobami niż szatańską pomocą. Przytém wdzięczność, zapłata, pomnożenie sławy, tak go już mało obchodziły, tak mu były obojętne, jakby w duszy jego żadnego nie obudzały uczucia.

Smutno było patrzeć na niego, bo twarz nawet i postawa, stan duszy malowały. Z każdego zmarszczka pooranéj twarzy mówiły zgryzoty i żal przeszłości; a przez wyniosłe, wyschłą i żółtą skórą okryte czoło, widać było, co za walki pod niém przewrzały. Od czasu jak odczarowany konał tak powolnie, opuścili go ludzie, stracił tych przyjaciół, którzy tylko jego stołu i dzbana przyjaciółmi byli. Nikt mu wiernym do ostatka nie pozostał; dawniejsi biesiadnicy, którzy za jego stołem pod niebiosami go wynosili, teraz wstydzili się podać mu rękę, dla tego, że wnosząc z powierchowności, myśleli iż zubożał. Jeden tylko Maciek-pająk, zawsze u jego okna siatkę swoją przedąc, nie-

odstępował go, choć mógł gdzie indziej się przenieść.

Jakby się umyślnie przeszłością swoją chciał karać, Twardowski często wychodził znówu na Rzemionki i z skały, która nazwisko szkoły jego miała, spoglądając po okolicy, długie godziny, wsparty na dłoniach, przepędzał. — Wśród tego życia zgryzot, nigdy już nie wróciły znówu te łzy, które raz tylko zrosiły twarz jego, owego pamiętnego ranka, gdy dźwięk pieśni złożonej jeszcze w młodości, doszedł jego serca. Nigdy więcćj ten tajemniczy głos przeszłości nie przemówił już do niego. Jednakże Kantyczki, w których te pieśni jego zawarte były, nosił Twardowski od niejakiego czasu przy sobie, choć ich nigdy nie otwierał. Czasem tylko ścisnął je konwulsyjnie w rękach, jakby się passował między żądzą szukania w nich pociechy, a jakimś nieopisanym strachem.

Smutne to było życie jego, samotne, całe oddane na łup zgryzotom i rozpacz, przeplatane straszliwemi myślami o piekle i potępieniu.

Było to konanie, za którym żadnej nie zo-

stawalo nadziei — czarne tylko pickło. Znękany starzec przysięgłszy djabłu, że nigdy w Rzymie nie będzie, uspakajał się tém nieco; ale ilekroć wspomniał na minę djabla i milczącą jego zimną rezygnacją przy pożegnaniu ostatniém, lękał się jakiego podejscia.

ROZDZIAŁ XV.

Jaki był koniec Mistrza.



JEDNEGO wieczora, zastukano silnie do wrót domóstwa Twardowskiego i zaczęto wołać:

— Otwórzcie, otwórzcie, na miłość Bożą!
Twardowski nie miał nawet sługi jednego przy sobie, tak się był opuścił, poszedł więc sam do wrót.

Zaledwie furtkę odsunął, wpadł człowiek młody i strojny, pięknej twarzy, dobrej miny— ale pomieszany i blady.

Tu mieszka Mistrz Twardowski? spytał.

— Tu — i ja nim jestem, odpowiedział starzec. Czego WMość chcecie ode mnie?

— Na miłość Bożą, Mistrzu! ratujcie mojego ojca! Jedna nadzieja w tobie. — Jeśli ty go nie wyratujesz, to nikt pewnie!

— Cóż to się stało ojcu Wmości?

— Straszny przypadek go dotknął. Konie go potłukły okropnie. Sprowadzałem doktorów, wszyscy powiedzieli, chyba tu Mistrz Twardowski z Krakowa da temu radę, a my nie możemy zrobić. Leży już ledwie żywy! Ratuj go, na miły Bóg zaklinam! Co tylko żywie chcesz, wszystko ci dam!

Mistrz się uśmiechnął i głową pokiwał.

— Daleko to ztąd?

— Dosyć daleko! Pod Sandomierzem. Na odgłos twój sławy pośpieszyłem aż tu do ciebie. Porozstawiane konie po drodze. Na Boga siadaj ze mną i jedź Mistrzu.

Twardowski nie rzekł na to, wskazał młodemu człowiekowi aby na niego poczekał i poszedł zabrać co było potrzebne jak sądził dla chorego. W chwilę powrócił z paczką pod pachą i siadł do kolasy, która jak wiecher poleciała. — Konie zdały się ziemi w biegu nie tykać; co kilka mil odmieniali je i po dość długiej podróży, ukazał młody

człowiek Mistrzowi nową karczmę na rozdrożu stojącą. —

— Oto tu jest mój ojciec! rzekł do Twardowskiego.

Stanęli, wyskoczył młodzieniec.

— Pójdę przodem, proszę WMości za mną, proszę za mną. Wszedł do izby, Mistrz za nim.

Zaledwie Twardowski próg przestąpił, drzwi się za nim same zatrzasły, szum powstał wielki. Zdziwił się Mistrz i szukał oczyma chorego na próżno. Wtém z alkiérza wysunął się znajomy szatan z cyrografem w ręku, uśmiechający się, wesóły.

— Co ty tu robisz? zawołał Mistrz.

Szatan w milczeniu podsunął cyrograf i rzekł poważnie, powolnie, patetycznie.

— Ta karczma — *Rzym* się nazywa!

Twardowskiemu na te słowa w głowie się zakręciło, zaszumiało, splątało. Rzucił się naprzód do drzwi, drzwi były zaparte, okien strzegli djabli rojami, komin także starym djabłem zatknięto umyślnie. Wszelkie ostróżności przedsięwzięto, niepodobna się było wymknąć. Nie stracił jednak Twardowski przytomności, i w tej chwili ujrawszy w kółsce ledwie półroczne

dziecie szynkarki, pochwycił je w mgnieniu oka na ręce i dopiero odetchnął.

— Ha! zawołał, sądziłeś psi synu, żeś już mnie złapał! Poczekasz Ruski miesiąc. Nie możesz mnie porwać z tém dzieckiem, ono jest chrzczone i bez grzechu.

— Co? co? syknął szatan.

— Tak! porwać mnie z tém dzieckiem nie możesz — aui się nawet mnie dotknąć.

— Tożem głupi jak bydle, rzekł szatan, żem je tu zostawił! I uderzył się pięścią w czoło.

— No! o włos byłem zgubiony! szepnął Twardowski do siebie.

— Dziwny rozum i przytomność, rzekł szatan zmieniając ton i zaczynając się przypochlebiać. Połóż że je już połóż w kołyskę — Nie ci się Mistrzu nie stanie — wygrałeś!

— Nie tak jestem głupi, jak ci się zda, odpowiedział Twardowski, przyciskając dziecko do siebie.

Djabel spójrzał i szusnął do alliérza nazad. W chwilkę okropny piskliwy głos dał się z niego słyszeć, wybiegła pani szynkarka rozczochrana, z zapalouemi oczyma, twarzą zapłomienioną, rękami zakasanemi; a ujrzawszy

dziecię swoje u Mistrza, porwała się prosto do niego.

— Co to ty łotrze robisz z mojm dziećciem! Co to jest! krzyknęła, oddaj mi je złodzieju, albo cię tym ożogiem w śmierć ubiję!

Mistrz usunął się i rzekł spokojnie.

— Wszakże ci go nie biorę, ani mu w twoich oczach mogę co zrobić — słuchaj!

— Ja nie nie chcę słuchać! Czego ja będę słuchała! Oddaj mi zaraz moje dziecko, słyszysz! albo tak cię kropnę.

Mistrz czoło namarszczył.

— Milcz i słuchaj babo, bo je zduszę, jeśli mnie dotkniesz.

— Nie bój się, nie bój, on tylko tak gada, ale on tego nie zrobi, szepnął djabeł szynkarce, chcąc ją podjudzić do odebrania dziećcięcia. Nie udało mu się jednak, bo uspokojona baba zapewnieniem, że się dziecku nie stanie, odsunęła się i zdawała chcieć słuchać Mistrza.

— Sto kop tobie kobięto za pożyczenie mi dziecka, tylko póki wyjdę ztąd i wyjadę na granicę.

— Ot-to! odpowiedziała szynkarka, alho ja ci uwierzę?

— Masz pieniądze, rzekł Twardowski, rzucając jej kieszę.

Ona schyliła się, porwała, spójrzała w srodek, schowała i już zamilkła.—

Djabeł znowu do alkierza pobiegł i wyprowadził ojca. Ale ten ledwie o swoje dziecko gębę otworzył, żona mu ją zamknęła, pokazując worek, i mówić nie dała. Skończyło się na ułkonach i skrobaniu w głowę. Djabłu znów się nie udało. Nie było już sposobu.

— Trzymaj że sobie dziecko póki chcesz, rzekł, ale to pewna, że ja cię z tą przez próg nie puszcze i choćby głodem zamorzę.

— Tego nie możesz zrobić, odpowiedział Mistrz spokojnie, siadając z dziećciem na ławie. Wiész dobrze, że ja, i warunki naszego kontraktu i twoją władzę jak daleko się ona rozciąga, znam bardzo dobrze. Nie mi nie wnówisz.

Szatan skrobał się w głowę, aż z niej iskry się sypały.

— Bodajem przepadł, rzekł, jeśli kiedy więcej pokuszę się na mędrka. Już mnie twoja dusza cztery razy tyle kosztuje co warta. Jeszcześ mi ją popsul w ostatku, niebezpieczne-

mi żałami i lamenty a wspomnieniami młodości!

Com ja stracił czasu! com się napracowa! a teraz mi się tak wymykasz! Uczciwież to, mój mistrzu? I co ci z tego życia? czyżes nie miał wszystkiego, czego tylko pożądałeś? Czyliżes go sobie wedle upodobania nie przedłużył? Czyś nie użył życia jak ci się tylko podobalo? Czyżem ci jak ostatni sługa nie dopomagał? Cóż ci teraz zostało? strach, żal, zgryzoty. Wszakże to straszniejsze męczarnie od piekielnych, wszak ty tracisz żyjąc, nie zyskujesz—nie lepiej że, nie uczciwiej, raz już skończyć i mnie zaspokoić a dług oddać.

—Dla czegoż ci tak śpieszno kończyć ze mną? rzekł Mistrz.

—Bo mi już dojadło, kilkadziesiąt lat jednej duszy pilnować!—Rozmyśl się tylko Mistrzu! Wiesz dobrze że cię z tém dzieckiem nie porwę; ale czy to uczciwie, czy to po szlachecku, tak się wykręcać dawszy słowo? Zrobiles ze mną umowę o duszę—to coś ważniejszego niż kontrakt o majątek. Jakżeby cię nazwano, gdybyś złamał umowę raz uczynioną i podpisaną dobrowolnie?—Łotrem bez ezc i wiary! Fe! Fe!

Godziż się to tak czynić szlachecowi, bodajby nawet z diablem?

Twardowski widocznie się mięszał — lice mu się zaczerwieniło, usta podniosły, powoli wstawał z ławy i patrzył diabłu w oczy. Nie uszło to uwagi szatana, iż jego argumenta skutkowały, dodał więc jeszcze.

—Wiész że była umowa dobrowolna między nami, wiész jaka świętość umowy, dla uczciwych ludzi. Zdaje się, że *Verbum nobile, debet esse stabile*.

Na te słowa pokonany Twardowski położył zwolna dziecię w kołyskę i rzekł.

—Masz mnie diable—przekonałeś!

Ledwie sam sobie diabeł mógł uwierzyć gdy ujrzał skutek swój wymowy.

Tylko co Twardowski dziecię w kołysce złożył; już szatani zatopili w nim szpony i świszcząc przez komin wysoko unieśli.

Gdy po nad ziemią lecieli, Twardowski patrząc na nią raz jeszcze, całą swą przeszłość przypominał. Zwykle gdy się kończy życie, przychodzi ono jeszcze pożegnać człowieka.

Znowu w jego duszy ozwała się młodość szczęśliwa i wspomnienie chwil pobożności i wiary, znowu zadźwięczała mu w sercu owa pieśń do Boga Rodzicy, którą był ułożył. Na to wspomnienie sięgnął Mistrz po kantyczki, które przy sobie miał zawsze i dobywszy z piersi głos, gdy już ziemia z oczu jego znikać zaczynała, nótować pieśń pobożną zaczął.

W tej chwili jak oparzony djabeł, puscil go nagle i zniknął, a Mistrz został zawieszony w powietrzu sam jeden, z pieśnią w ustach, i zdało mu się że słyszał głos nad sobą potężny.

— Zostań tak do dnia sądu!

Otworzył oczy i dziękował Bogu, że go ze szpon szatana wyrwał. Lecz gdy łżą znowu zalane oko ku ziemi spuścił, już jej nie ujrzał pod sobą. Wisiał w białej, jednostajnej, niezmiętej pustyni; chmury tylko snwały się pod jego nogami, a słońce piekło nad głową! Nie dochodził go głos ziemi, nie widział nic, otaczała go pustynia, w której był sam jeden, z myślami swemi, ciężkimi towarzyszami po takim życiu!

Lecz gdy się modli i zawieszony w powietrzu drży nad długimi laty, które za karę wi-

sieć tak skazany—uczuł Mistrz, że go coś po rękę łechtalo.

By to pajak-Maciek.

Wierny sługa, uczepił się sukni Mistrza i los jego podzielił.

Twardowski, zawołał go, poznawszy.

—Macie! ty tu ze mną?

—Zawsze z tobą, twój sługa, odpowiedział pajak.

Odtąd pajak-Maciek, uczepiony do nogi Mistrza, pozostał z nim na zawsze. Co rano tylko po długiej nici spuszcza się on na ziemię, czolga po znajomych miejscach, zbiera pokarm wieści, a wróciwszy zasila nim pana, którego wysechł zgryzotami i myślami ciężkimi, pożerającami go jak sęp Prometeusza.

Taki był koniec życia wielkiego Mistrza Twardowskiego, którego imię i dzieje dochowały nam podania ludu, skarbnica wszystkich pamiątek, nie mieszczących się w historii pisanej. Z tych podań spisał życie Mistrza autor tej książki, na pożytek wasz duchowny, którego z serca wam życzy.

K O N I E C.



SPIS ROZDZIAŁÓW

W TOMIE DRUGIM.



Stronica.

ROZDZIAŁ I. Jako Twardowski chciał użyć świata.	7
ROZDZIAŁ II. Jako Twardowski kochał i pożą- dał swojej młodości.	19
ROZDZIAŁ III. Jako Twardowski odmłodził, i co potem czynił.	28
ROZDZIAŁ IV. Jako Twardowski P. Wojewo- dę wskrzesił, i kogo tam widział. . .	39
ROZDZIAŁ V. Krewni panny Agnieszki. . . .	52
ROZDZIAŁ VI. Jako szatan radził Twardowskie- mu w jego miłości.	63
ROZDZIAŁ VII. O dziadach i babach, i jak Twar- dowski użył starój Kachny.	70

ROZDZIAŁ VIII.	Jaka była odpowiedź panny Agnieszki.	94
ROZDZIAŁ IX.	Jako się Twardowski ożenił i co było na weselu.	99
ROZDZIAŁ X.	Jako Twardowski żył z żoną, jak z rady diabła ją podsłuchał i co po- tém czynił.	110
ROZDZIAŁ XI.	Jako się mścił jeszcze Twar- dowski.	128
ROZDZIAŁ XII.	Jako Twardowski przeszłości swój żałował i z diabłem się kłócił. . .	133
ROZDZIAŁ XIII.	Jako diabeł zbudował szlachci- cowi karczmę.	143
ROZDZIAŁ XIV.	Jako Twardowski snutne pędził życie.	151
ROZDZIAŁ XV.	Jaki był koniec Mistrza. . . .	155











27. 11. 68

4 189

Biblioteka Raczyńskich

JK 818



JK0818